

WOJCIECH WIECZOREK

## W stronę dobrobytu

**A** WANGARDA narodu budującego socjalizm jest klasa robotnicza i Partia. Oczywiście jest więc ogólnonarodowe znaczenie decyzji podejmowanych przez Partię; zrozumiałe jest powszechne zainteresowanie, z jakim spotkał się II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Doniosłość II Zjazdu PZPR polega przede wszystkim na tym, że otwiera on nowy etap budownictwa socjalistycznego w Polsce Ludowej. Dotychczas w wewnętrznej problematyce polskiej dominowały zadania związane z uprzemysłowieniem kraju. Obecnie na plan pierwszy wysunięto zadanie szybkiego podniesienia stopy życiowej ludności pracującej. W ciągu dwóch ostatnich lat Planu 6-letniego realne płace pracowników oraz dochody pracujących chłopów wzrosnąć mają o 15—20 procent. Zadanie podnoszenia stopy życiowej ludności realizowane będzie za pośrednictwem stopniowego obniżania cen artykułów powszechnego użytku, przez politykę wzrostu realnych płac w oparciu o zwiększoną wydajność pracy oraz przez podwyżkę płac tych kategorii pracowników i robotników, których płace nie znajdują się na odpowiednim poziomie w stosunku do pełnionych funkcji. Polityka podnoszenia stopy życiowej przewiduje również poprawę zaopatrzenia obywateli korzystających z rent i emerytur oraz wzrost dochodu pracujących chłopów, który powinien być osiągnięty przez zastosowanie odpowiednich bodźców materialnych podnoszących wydajność gospodarstw chłopskich zarówno współdzielczonych, jak i indywidualnych. Aby osiągnąć te cele trzeba przede wszystkim przyspieszyć wzrost produkcji rolniczej i przemysłu lekkiego oraz rozwinąć w większym stopniu niż dotychczas budownictwo mieszkaniowe, komunalne i socjalno-kulturalne. II Zjazd Partii uchwalając nowe zadania podkreślił zarazem konieczność utrzymania zasadniczej linii industrializacji kraju, będącej podstawą socjalistycznych przeobrażeń gospodarczo-społecznych.

Jakie czynniki wpłynęły na decyzję II Zjazdu PZPR? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w referatach i dyskusjach zjazdowych, a zwłaszcza w sprawozdaniu Komitetu Centralnego, przedstawionym Zjazdowi przez przewodniczącego KC PZPR Bolesława Bieruta.

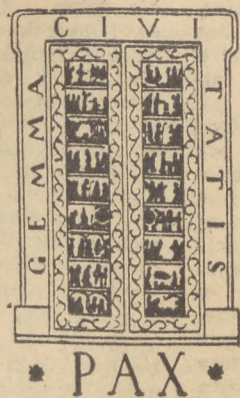
Sprawozdanie Komitetu Centralnego potwierdziło sygnalizowany od dłuższego czasu fakt nienadążania produkcji rolniczej za rozwojem produkcji przemysłowej. Niedostateczny był również, w stosunku do stale rosnących potrzeb ludności, wzrost produkcji artykułów powszechnego użytku. Ta dysproporcja w rozwoju gospodarki narodowej, częściowo uszczelniona rozmiarami zniszczeń wojennych oraz szczególnie trudnymi warunkami okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu, częściowo zaś zawiniona błędami aparatu państwowego i gospodarczego, była główną przyczyną niedomagań gospodarczych i utrudniała realizację założonego w Planie 6-letnim wzrostu dobrobytu. II Zjazd Partii powziął decyzję usunięcia tej dysproporcji.

Zagadnienie nie sponadza się jednak wyłącznie do sprawy usunięcia dysproporcji między rozwojem przemysłu a rolnictwa. Przystąpienie do bezpośredniej realizacji polityki dobrobytu byłoby nie do pomyślenia, gdyby nie znajdowało oparcia w osiągnięciach na odcinku industrializacji. Osiągnięcia te są oczywistym faktem. W ciągu czterech lat Planu 6-letniego Polska przekształciła się z zacofanego kraju surowcowo-rolniczego w jeden z produjących krajów przemysłowych Europy. Produkcja naszego przemysłu w roku 1953 była 3,6 razy wyższa niż w roku 1938, a w przeliczeniu na jednego mieszkańca — 4,8 razy wyższa. W niespotykanym dotychczas tempie wzrasta zwłaszcza przemysł ciężki jak np. przemysł maszynowy przewyższający w r. 1953 dziewięciokrotnie produkcję przedwojenną (w przeliczeniu na jednego mieszkańca). Wzrosła również wydajność produkcji przemysłu chemicznego. W ciągu czterech lat — przy wszechstronnej pomocy ze strony Związku Radzieckiego, zbudowane zostały potężne obiekty przemysłowe. Uruchomiono również szereg gałęzi przemysłu nieznanymi zupełnie przed wojną, jak np. przemysł okrętowy i traktorowy. Rozwinięta została w stopniu niezbędnym dla obrony kraju produkcja nowoczesnego sprzętu wojennego.

Te wszystkie osiągnięcia dowodzą, że wysiłek społeczeństwa włożony w odbudowę i uprzemysłowienie Polski, wysiłek, którego sensu i perspektywy niektórzy nie dostrzegali, nie poszedł na marne. Osiągnięcia te oznaczają również — wbrew reakcyjnemu przepowiedniom — że nowe zadania postawione przez II Zjazd Partii nie są odstępstwem od zasadniczego kierunku socjalistycznej polityki ekonomicznej, lecz jej konsekwentną kontynuacją na nowym, wyższym etapie budownictwa socjalistycznego. Ten nowy etap, którego istota polega na podjęciu generalnej ofensywy w kierunku dobrobytu, jest obecnie nie tylko pożądanym, ale co ważniejsze — realnym. Stać już nas na to, by więcej środków, niż to było możliwe dotychczas, przeznaczyć na rozwój rolnictwa i przemysłu lekkiego, na budowę osiedli mieszkaniowych, obiektów socjalnych i kulturalnych, na opiekę zdrowotną i oświatę.

Sukcesy na odcinku industrializacji kraju umożliwiły przejście do nowego etapu budownictwa socjalistycznego. Stwierdzić trzeba, że źródłem tych sukcesów była w decydującej mierze stale wzrastająca świadomość polityczna i aktywność mas. Wszyscy Polacy, zarówno członkowie Partii jak i bezpartyjni, podjęli walkę o ogólnonarodowe cele zakreślone Planem 6-letnim. Z tej jednolitej działalności zrodził się Front Narodowy, który zdał egzamin w najtrudniejszych okresach naszego budownictwa socjalistycznego. Jego umacnianie pozostaje nadal obowiązkiem każdego z nas.

Obecnie podstawowym zadaniem jest podjęcie walki o wzrost produkcji rolniczej, o szybkie podniesienie stopy życiowej obywateli. Warunki startu są dziś znacznie bardziej korzystne niż przed pięciu laty, w przededniu walki o uprzemysłowienie kraju. Państwo dysponuje środkami materialnymi niezbędnymi do wykonania tych nowych zadań. Jeszcze bardziej pogłębiła się świadomość polityczna narodu zjednoczonego w szeregach Frontu Narodowego. Wzrost w siłę światowy obóz pokoju zmuszając nawet najbardziej zagorzałych zwolenników rozpętania nowej wojny do liczenia się z wolą narodu, do podjęcia rokowań. Fakty te wzbudzają optymizm. Pozwalają wyrazić przekonanie, że nowy etap budownictwa socjalistycznego w Polsce Ludowej, w który obecnie wkraczamy, będzie uwieńczony powodzeniem.

DZIS  
i  
JUTRO

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

## SPRAWA KSIĘŻY ROBOTNIKÓW

„Zgorszenie panować będzie na świecie tak długo, jak długo wszyscy chrześcijanie nie potrafią walczyć bez żadnych zastrzeżeń razem ze wszystkimi ubogimi i uciśnionymi”.

EMANUEL MOUNIER

OD paru miesięcy francuska opinia publiczna katolicka żyje narastającym kryzysem wokół działalności księży-robotników. Zresztą nie tylko francuska: od chwili gdy stało się jasne, że nie chodzi tu o jakieś drobne personalne przesunięcia, ani o zewnętrzne reformy tego apostołatu, lecz że zagrożona jest sama najistotniejsza treść tego eksperymentu misyjnego — losy tej setki ludzi, przeważnie nikomu nieznanego z nazwiska, stały się przedmiotem zainteresowania na skalę światową. Wydaje się, że sami księży-robotnicy nigdy nie przypuszczali, że ich działalność wzbudziła tak silny odzew w całym świecie katolickim. Jest faktem, że w ciągu ostatnich miesięcy problemowi księży-robotników poświęciła swe szpalty nie tylko prasa większości krajów europejskich, lecz i również prasa Stanów Zjednoczonych, Kanady, Ameryki Południowej a nawet i Japonii. Ze szpalty prasy katolickiej problematyka ta przeszła nawet do wielkich dzienników i tygodników informacyjnych: „Le Monde” drukuje cykl artykułów na ten temat, pasjonują się sprawą księży robotników włoskie dzienniki — „Messaggero”, „Giornale d'Italia”, „Corriere della Sera”. Korespondent tego ostatniego odbywa podróże po całej Francji i ogłasza sześć niezmiernie ciekawych i dobrze udukiemowanych artykułów. Wszystkie, niemalże bez wyjątku głośno prasowe tchną sympatią dla tej garstki księży, zaskoczących własnym rozgłosem i popularnością. Wyiom stanowi, oczywiście, ton komentarzy frankistowskiego dziennika „Informaciones” i pism amerykańskich w rodzaju „New York Herald Tribune”, czy osławionego tygodnika „Time”, obrzucających księży-robotników stękiem oszczerstw i obelg.

Dziś, gdy decyzje powzięte w Rzymie i wprowadzone w życie przez Episkopat francuski kładą kres działalności księży-robotników — nadszedł czas, by spróbować zastanowić się nad istotą tego eksperymentu, przyczynami powziętych przeciwko niemu decyzji i nade wszystko nad konsekwencjami nowego stanu rzeczy, stworzonego w ten sposób we Francji.

## CO TO SĄ KSIĘŻA-ROBOTNICZY?

W latach drugiej wojny światowej we Francji grono działaczy i myślicieli katolickich dopracowało się realistycznej oceny stanu religijności francuskiego społeczeństwa. Ścisłej byłoby nawet powiedzieć: stanu niereligijności Francji. Argumentacja, zawarta w książce dwóch młodych księży — Godin i Daniel — wstrząsnęła duchowieństwem francuskim. W niedługim czasie przyszedł im w sukurs „znany katolicki socjolog francuski Le Bras; zaraz po wojnie opublikował jeszcze pracę o religijności wsi francuskiej ksiądz Bouliard. Wszystkie prace wskazywały na jedno — że społeczeństwo francuskie dechrystianizuje się stale, mimo stosunkowo wysokie kultury i aktywnej francuskiej katolickiej elity intelektualnej. Jedną piątą Francuzów nie jest ochrzczona. Najwyżej czterdziści procent katolików z mefityki można zaliczyć do mniej więcej praktykujących.

Jeśli zjawisko dechrystianizacji należy we Francji uznać jako ma-

sowe i obejmujące wszystkie warstwy ludności, to specjalna, zwarta masa, niedostępna i odcięta zupełnie od wpływów Kościoła — jest francuska klasa robotnicza. Długi proces historyczny, o którym pisałyśmy wielokrotnie, spowodował, że klasa robotnicza nie tylko odeszła w swej ogromnej większości od praktyk religijnych, lecz żywiła we Francji głęboki uraz w stosunku do Kościoła katolickiego, któremu zarzucała, że poprzez swe duchowo-wierstwiwo, poprzez swe organizacje, poprzez swe wpływy solidaryzował się z systemem kapitalistycznym, z klasą burżuazyjną — z ciemiężcami robotników.

Nie zatrzymujemy się nad analizą przeszłości. Nie starczy nam na to miejsca. Stwierdźmy tylko, że w latach wojny znalazła się grupa młodych i gorliwych kapłanów i podjęła się misji Ewangelii. W ten sposób powstała Misja Francji i Misja Paryska oraz Seminarium Misyjne w Lisieux (następnie przeniesione do Limoges), gdzie kształcono młodych alumnów, specjalizujących się w tym nowoczesnym apostołacie misyjnym. Obie misje wyposażone były w specjalny statut, zatwierdzony na próbnym okresie trzech lat przez Stolicę Apostolską, a następnie przedłożony do chwili, gdy całość tej pracy została zakwestionowana na żądanie obecnego nuncjusza papieskiego we Francji mons. Marella.

Księża-robotnicy stanowią jedną z gałęzi tej rodziny misyjnej. Jest ich razem setka, w czym około dwudziestu zakonnych a reszta świeckich. Założeniem działalności księży-robotników było przeświadczenie, iż trzeba udowodnić przede wszystkim, że pojęcie katolika nie jest wcale związane nieuchronnie z burżuazyjnym stylem życia, z mentalnością kapitalistyczną. Poszli więc do pracy do fabryk, żyli w tych samych warunkach mieszkaniowych i materialnych co robotnicy, ubierali się po robociarsku, ryzykowali głód i bezrobocie po to, by móc mówić w tym środowisku o Chrystusie bez wzbudzania podejrzeń, że jest się tylko zakamuflowanym agentem wrogiemu, nienawistnego świata kapitalistycznego.

Takie było założenie. Dziesięć lat praktyki jednak głęboko przeobraziło pierwotne plany.

Nie ulega wątpliwości, że niektóre koła katolickie i wiele kół nie nie mających z katolicyzmem wspólnego były głęboko przekonane, że w istocie działalność księży-robotników stanie się, wbrew intencjom inicjatorów, rzeczywistą dywersją w świecie robotniczym. Wyobrażano sobie, że jest to droga do zahamowania rewolucyjnych dążeń francuskiej klasy robotniczej. Niektórzy pracodawcy, przyjmując do roboty księdza, sądzili, że znajdują w nim cichego sprzymierzeńca, który będzie przeciwstawiał się akcji związkowej i politycznej, odstępował od strajków, chronił „święte prawo własności”. Ci doznali kompletnego rozczarowania.

Sami zaś księży-robotnicy przekonałi się rychło, że problem solidarności z klasą robotniczą nie kończy się na przyjęciu jej stylu życia i dzieleniu się jej biedą — ale na uczestnictwie w jej walce o wyzwolenie się z ucisku. Księża-robotnicy, rozsiani po całej Francji małymi grupkami, przechodzili w ciągu tych paru lat powojennych głęboką ewolucję ideologiczną, która coraz to bardziej czyniła z nich ludzi, którzy chcieli jednocześnie pełnić dwa posłannictwa — głosić Słowo Chrystusowe i walczyć w sposób skuteczny przeciw nędzy i niesprawiedliwości, o wyzwolenie społeczne francuskiego proletariatu — to znaczy o ustrój, w którym zniesiony był ucisk klasowy, typowy dla świata

kapitalistycznego. Stali się rewolucjonistami.

## BILANS DZIESIĘCIOLECIA

NIKT jeszcze nie napisał historii dziesięciu lat pracy tej garstki ludzi. Żadna z modnych ostatnio na Zachodzie powieści o księżach-robotnikach nie ukazała prawdy o ich życiu. Najgłośniejsza i może najbardziej uczciwa w intencji powieść Cesbrona — „Święci schodzą do piekiel” nieświadomie ale zasadniczo fałszuje zarówno obraz księdza-robotnika, jak i samej klasy robotniczej Francji.

Od czasu do czasu gdzieś wypłynęła jakieś nazwisko. Głośnie się staje francuska postać księdza Depierre z przedmieść Paryża. W jakimś mieście portowym, w zwykłym banalnym wypadku przy pracy ginie młody ksiądz-robotnik. W czasie manifestacji robotniczych przeciw generałowi Ridgewayowi policja zmasakrowała dwóch księży-robotników, którzy towarzyszyli w pochodzie swym kolegom z pracy. Każdy taki wypadek budzi sensację, choć mało kto pomyśli o tym, jak wielu bezimiennych robotników ginie przy pracy, jest masakrowanych przez policję bez wal, by się ich sprawą zainteresowały szersze koła mieszczańskiej opinii publicznej.

Sumując jednak to, co o działalności księży-robotników wiemy z dość licznych i poważnych artykułów, ogłoszonych w ostatnim czasie, oraz z okazji rozmów odbytych z nimi z okazji pobytów we Francji — trzeba spróbować ocenić wyniki ich pracy.

Nie ulega wątpliwości ich wielki sukces moralny, polegający na udowodnieniu osobistym przykładem iż można poświęcić swe życie sprawie klasy robotniczej i być jednocześnie gorliwym rzecznikiem sprawy Kościoła i światopoglądu katolickiego. W obrzymiej większości księży robotnicy zyskali sobie zaufanie i przyjaźń swych proletariackich środowisk i nie zawiedli nawet w najtrudniejszych, najbardziej tragicznych momentach.

KSIĘŻA ROBOTNICZY  
DO SWYCH TOWARZYSZY PRACY

W chwili gdy miliony robotników tak we Francji jak i za granicą dążą do zjednoczenia, aby bronić swych praw do chleba, wolności i pokoju, wówczas gdy chlebobawcy i rząd wzmagają wyzysk i represje, by za wszelką cenę zahamować rozwój klasy robotniczej i chronić swe własne przywileje, władze duchowne narzucają księżom robotnikom takie warunki, które zmuszają ich do porzucenia pracy w fabrykach i zaparcia się walki prowadzonej solidarnie z innymi towarzyszami pracy.

Decyzja ta oparta jest na przesłankach religijnych. Nie wydaje nam się jednak, by wykonywana przez nas praca robotnika fabrycznego utrudniała nam w czymkolwiek wierność naszej wierze i wykonywanie naszych obowiązków kapłańskich. Nie rozumiemy jak — w imię Ewangelii — można zabraniać księżom dzielenia losu milionów ludzi uciskanych i zakazywać solidaryzowania się z nimi w ich walce.

Nie należy zapominać, że życie i działalność księży robotników spowodowały zamieszanie w tych środowiskach, które przyzwyczajone są do podporządkowywania religii służbie swym własnym interesom i swym przesądom klasowym. Presja wywierana przez te koła jak i pochodzące z różnych źródeł wszelkiego rodzaju zarzu-

ty mają bezsprzecznie związek z powziętymi obecnie zarządzeniami.

W chwili gdy czynione są wysiłki zmierzające do odsunięcia zaangażowanych w walce klasy robotniczej chrześcijan od wspólnej z robotnikami walki i w chwili gdy dąży się do zdyskredytowania ich wiary, zastosowanie tych środków przyczyni się do wzbudzenia niepokoju w ich sumieniach. Księża robotnicy domagają się dla siebie i dla wszystkich chrześcijan prawa do solidaryzowania się z robotnikami w ich walce o słuszną sprawę.

Klasa robotnicza i jej bojownicy ufają księżom robotnikom i szanują ich kapłaństwo. Szacunek i zaufanie, które w dalszym ciągu nam okazują zabraniają nam pojęcia na jakikolwiek kompromis. Kompromisem tym byłoby pozorne pozostanie przy klasie robotniczej bez dzielenia jej codziennej pracy i bez przyjmowania na siebie robotniczych zobowiązań i odpowiedzialności. Klasa robotnicza nie potrzebuje ludzi „którzy by pochylali się nad jej nędzą” lecz ludzi dzielących jej walkę i jej nadzieje.

Przeto oświadczamy, że decyzje nasze będą powzięte w pełnym poszanowaniu warunków życia robotników i ich walki o wyzwolenie.

(Dokończenie na str. 2)



# Sprawa księży robotników

(Dokończenie ze str. 1)

na ogół odbiegał daleko od idei księży-robotników.

Chrześcijańskie Związki Zawodowe, patronowane przez jawne reakcyjne dziś stronnictwo chadecckie MRP, nie mogły zapomnieć, że księży-robotnicy w najostrożniejszych siewach napiętnowali zdradziecką rolę, odegraną przez kierownictwo CFDC w okresie wielkiego sierpniowego strajku we Francji.

Rząd francuski, a nad nim amerykańska dyplomacja nie darowały porażki księży - robotników dla demonstracji przeciw Ridgewayowi, przeciw armii europejskiej, przeciw wojsku kolonialnej.

Czyż stu biednych robotników, otoczonych wprawdzie sympatią wielu środowisk katolickich, ale konsekwentnie zwalczanych przez tak różnorodne i potężne czynniki, mogło się obronić przed taką wspólną ofensywą?

## STRONA RELIGIJNA ZAGADNIENIA

**N**IE ulega wątpliwości, że Kościół miał ze swej strony szereg powodów, dla których uważał za konieczne bezpośrednio wkroczenie w sprawę księży - robotników. Tego rodzaju eksperyment duszpasterski stawał bowiem Kościółowi wiele nowych problemów, które wymagały formalnego rozwiązania, jak i z drugiej strony praktyka dziesięcioletnia wskazywała na pewne błędy, czy nieporozumienia, które należało wyrównać. Kościół katolicki wielokrotnie był stawiany w obliczu inicjatyw apostołskich, które rujnowały tradycyjny porządek i utarte pojęcia. Tak było z reformą kluniacką, tak z ruchem franciszkańskim, tak z niektórymi doświadczeniami pracy misyjnej w koloniach. Jakkolwiek Kościół cechuje tradycja dużej ostrożności i powściągliwości w przyjmowaniu nowatorskich pomysłów, to jednak historia wskazuje na to, że ostatecznie ujmiał zawsze przyswoić sobie reformy religijne o ile były zgodne z duchem i interesami Kościoła.

Kardynał Suhard już niemalże na łożu śmierci otrzymał z Rzymu tymczasowe zatwierdzenie statutu Misji. Miał on obowiązywać na trzyletni okres próbnym. Następnie ważność tego statutu została przedłużona i obowiązywać on do chwili, gdy ostatecznie nuncejusz papieski w Paryżu zakwestionował całość tej pracy i postawił na porządku dzien-

nym zagadnienie jej istnienia w ogóle.

Bez wątpienia Hierarchia Kościółka niepokoiła się od dłuższego czasu głębokim rozdźwiękiem jaki rysował się w łonie francuskiego duchowieństwa wokół działalności księży - robotników. Dla jednych ta forma działalności była powodem zgorszenia z powodu zbyt nowatorskich metod pracy religijnej, dla wielu innych była przede wszystkim prowokacją wobec tradycyjnie konserwatywnych poglądów politycznych i społecznych, obowiązujących dla poważnej części francuskich duchownych. Ten rozłam wewnętrzny przyczynił się bez wątpienia do zachęcania Rzymu do bezpośredniej interwencji.

Były również kwestie wewnętrzne - kościelne, które wymagały uregulowania. Jedną z ważniejszych było zagadnienie wzajemnych stosunków między księżmi-robotnikami a ich Hierarchią. Statut przewidywał, że ci księża nie będą bezpośrednio podporządkowani ordynariuszowi diecezji, ale specjalnej komisji Episkopatu francuskiego. Od chwili jednak gdy odszedł kardynał Suhard, wielki przyjaciel i opiekun księży-robotników zabrakło w Episkopacie francuskim ludzi, zdolnych do prowadzenia tej akcji. Arcybiskup Paryża kardynał Feltin nie był bez wątpienia wrogiem księży - robotników, lecz najwyraźniej tylko ostrożnie i z ociąganiem się szedł w ślady swego poprzednika. W konsekwencji księża ci działali coraz bardziej na własną rękę. Ponieważ jednak w Kościele katolickim nie może być takiej sytuacji, w której księża świeccy nie mieliby nad sobą rzeczywistej władzy biskupiej, więc sytuacja dojrzała do momentu, w którym stanie się konieczne znalezienie nowego rozwiązania. Narzucało się ono logicznie - wyznaczenie jednego biskupa, posiadającego pełnię władzy jurysdykcyjnej nad księżmi obu misji i ich seminarium, tak, jak biskup polowy w stosunku do kapłanów wojskowych.

Obok zagadnień jurysdykcyjnych wylądowały się również i istotne zagadnienia natury bardziej doktrynalnej. Niektórzy teologowie podnieśli zarzut, iż tryb życia i działalności księży - robotników grozi zaświeceniem w oczach ich otoczenia, a może i w nich samych również, roli kapłana i obyczajów religijnych. Fizyczna praca, bardzo ciężkie warunki życia, liczne obowiązki społeczne powodowały, iż zdarzały się wypad-

ki zaniedbywania przez księży-robotników niektórych obowiązków duchowych swego stanu.

Wszystkie te zastrzeżenia, powodowały interwencje Hierarchii w ten eksperyment w duchu czuwania nad czystością doktrynalną i zgodnością z duchem organizacji Kościoła. Trzeba jednak również stwierdzić, że sygnalizowane problemy nie były bynajmniej oryginalne, gdyż w innej formie wzbudza je w praktyce każda działalność duszpasterska. Ich rozwiązanie mogło doskonale nastąpić w pełnej zgodzie z duchem działalności księży-robotników tym bardziej, że poza zupełnie sporadycznymi wypadkami nikt nigdy nie kwestionował pełnej ortodoksyjności katolickiej tych kapłanów.

Toteż przez długie miesiące ludzono się we Francji, że zahamowanie pracy misji jest tymczasowe i że, po dokonaniu niezbędnych reform organizacyjnych i precyzyjnym omówieniu form pracy duszpasterskiej - działalność księży-robotników będzie się nadal rozwijać pomyślnie.

## DRAMATYCZNE POŁROZCE

**S**TALO się zupełnie inaczej. Nie tylko działalność księży-robotników została praktycznie całkowicie zlikwidowana, lecz równocześnie przekreślono właściwie dorobek tak ciężkiej dziesięcioletniej pracy.

27 lipca kardynał Pizzardo, Prefekt Kongregacji Seminarium zawodowym specjalnym listem Episkopatu Francji, iż Stolica Apostolska nie zgadza się na to, by kontynuowana była praktyka stosowana we Francji, że alumni poszczególnych seminarium spędzali wakacje jako robotnicy w fabrykach, by poznać lepiej problematykę klasy robotniczej. Był to pierwszy sygnał ofensywy przeciw samej idei księży - robotnika. We wrześniu katolicka opinia dowiaduje się z przejęciem, że nie zostały wznowione wykłady w seminarium Misji w Limoges, jako wynik wizytacji dokonanej tam przez kardynała Lienart, arcybiskupa Lille. Jednocześnie nuncejusz rozpoczął serię konferencji z poszczególnymi biskupami, którzy mieli w swych diecezjach księży - robotników. To bezpośrednio zaangażowanie się nuncejusza w sprawę kościelne we Francji wywołało zresztą szereg ostrych protestów, gdyż nuncejusz, zgodnie z prawem międzynarodowym, nie może być uważany za zwierzchnika w stosunku do biskupów, a jest tylko przedstawicielem Stolicy Apostolskiej wobec rządu danego kraju.

Episkopat francuski również zaniepokoił się tą bezpośrednią ingerencją i w październiku przygotował memoriał do Ojca Świętego przedstawiający poglądy biskupów francuskich na rozwiązanie sprawy księży - robotników. W listopadzie trzech kardynałów - Gerlier, Feltin i Lienart pojechał do Rzymu przedstawić go Papieżowi. Wydało się, że zostali przyjęci bardzo chłodno i wrócili z powrotem z chędnymi, podsytkowanymi im w Rzymie w sposób bezapelacyjny. Najwyżej udało im się wytargować trochę czasu na przeprowadzenie operacji tak bardzo drastycznej i do której chyba w większości nie byli przekonani.

Listopad i grudzień poświęcone też we Francji na różnorodne deklaracje i przemówienia, które miały przygotować opinię do likwidacji księży - robotników. Trzeba jednak stwierdzić dużą chwiejność tych wypowiedzi, która by wskazywała na to, że do ostatecznych czynności były próby, by coś jeszcze uratować. Niestety bezskuteczne.

Rzecz charakterystyczna: niemalże w tym samym czasie, gdy kardynał Feltin, podkreślając konieczność poważnych reform, mówił jeszcze wyraźnie o posłannictwie księży - robotników - kardynał Lienart wygłasza w Lille przemówienie, w czasie którego stwierdza, iż zachodzi sprzeczność nie do pogodzenia między pojęciem „ksiądz” i pojęciem „robotnik”. Ostateczne dyrektywy do księży - robotników, wydane 2 lutego wskazują już wyraźnie, że władze kościelne zabraniają używania określenia „księża - robotnicy”. Sądzić by można, że kardynał Feltin nie zamierzał posunąć się aż tak daleko.

W jednej ze swych grudniowych wypowiedzi zresztą kardynał Feltin przyznał otwarcie, że Episkopat francuski nie miał na czas zająć w sprawie księży - robotników właściwego stanowiska - „Kościół miał tym bardziej powody do niepokoju, stwierdził on wówczas, że myśmy (tzn. Episkopat Francji) w naszych raportach nigdy nie pochwalili tej działalności, natomiast tych parę popelnionych błędów zostało bardzo wyraźnie uwypuklonych”. Z tych słów bardzo niewątpliwie wynika odpowiedzialność i Episkopatu Francuskiego za likwidację akcji księży - robotników.

Likwidacja jest całkowita. Instrukcja biskupów zabrania księżom pracować w fabrykach dłużej niż trzy godziny na dobę. Powoduje to, że praktycznie muszą z pracy zrezygnować, gdyż pracodawcy z zasady pół-dniówek nie uznają. Gdyby nawet na zasadzie jakiegos przywileju taką pracę dostali, to nie mogą występować już w charakterze robotników, a naj-

wyżej jakichś kapłanów fabrycznych, pozornie zatrudnionych i fałszuje to całkowicie ich intencję pełnego dzielenia całego życia robotniczego.

Zakazano księżom nie tylko brać na siebie żadnych funkcji, lecz w ogóle należeć do związków zawodowych i nakazano im zwrócić legitymacje do dnia 1 marca. Wadomo przeciele, że przynależność do związku zawodowego jest podstawowym sprawdzianem dojrzałości społecznej człowieka pracy, aktem świadomej solidarności i woli walki o interesy robotnicze. Żądanie to nie tylko stawia księży-robotników w bardzo fałszywej sytuacji wobec kolegów z pracy, lecz jednocześnie bije bezpośrednio w samą ideę samobrony związkowej, stanowiącej fundament siły mas pracujących.

Zlikwidowana została Jedność organizacyjna Misji, odtąd księża działający na tym odcinku będą bezpośrednio podporządkowani miejscowym ordynariuszom, automatycznie nastąpi i likwidacja seminarium w Limoges. Wywiera się nacisk na księży, by przestali mieszkać w dzielnicach robotniczych i przenieśli się na najbliższe parafie. To co dozwolono, nie ma już nic wspólnego z dawną formą działalności księży - robotników.

W odpowiedzi księża - robotnicy ogłosili list, w którym w słowach bezkompromisowych określają swą wierność sprawie klasy robotniczej i demaskują te siły reakcji, które ponoszą odpowiedzialność za tego rodzaju kompromitującą decyzję. Deklarację tę podpisał siedemdziesięciu trzech księży - robotników. Księża-zakonnicy, zaangażowani na tym samym odcinku zostali w większości odwolani przez rzymskie władze zakonne wcześniej jeszcze nim Episkopat Francji ogłosił swoje stanowisko.

## PARĘ SMUTNYCH WNIOSKÓW

**K**SIEŻA - robotnicy zostali postawieni w sytuacji dramatycznej, rozdarcia między swą wiernością dla Kościoła i wiernością dla sprawy robotniczej, której zakazano im służyć. Wierności Kościółowi zaś dotrzymać mogą tylko za cenę aktu w ich oczach i w naszych, oczywiście sprzecznego z samymi interesami Kościoła. Wyobraźmy sobie Polaka, który w latach wojny postawiony był w obliczu alternatywy - ekskomunikacja lub bardziej formalna lub wyrzeczenie się narodowości polskiej i prawa walki o niepodległość, a będziemy mieli w przybliżeniu obraz tego, co dziś przeżywiają księża - robotnicy i ich przyjaciele.

Sprawa jest zresztą właściwie z góry przegrana w pewnym sensie. Klasa robotnicza Francji jest w znacznej mierze bardzo niechętnie nastawiona do katolicyzmu. Jest ona przeświadczona o nierozwrotnym powiązaniu organizacji kościelnej z reżimem i środowiskami kapitalistycznymi. Ponadto jest ona na ogół niesłychanie obca

wszelkim praktykom religijnym. Wysokie księży - robotników bez wątpienia poruszył wiele ośrodków robotniczych, powstała nieraz atmosfera wzajemnego szacunku, jeśli nie zrozumienia. Decyzja władz kościelnych niestety nie może być inaczej zrozumiana przez klasę robotniczą, jak jako akt przeciw niej wymierzony. Nic nie pomogą wszelkie zastrzeżenia. Sytuacja społeczna we Francji jest zbyt drastyczna, by taki akt i właśnie w tym momencie mógł być inaczej zrozumiany. Toteż będzie tam przyjęty jako potwierdzenie tezy o powiązaniu Kościoła ze sprawą świata kapitalistycznego i jako przekreślenie mrzonek naiwnych, acz szlachetnych marzycieli za jakich księża - robotnicy będą uważani przez niewierzące środowiska robotnicze.

Decyzji podjętej przez najbardziej autorytatywne czynniki Stolicy Apostolskiej nie można w żadnym razie uważać za wynik przypadku czy nieporozumienia. Powzięto ją z pełnym poczuciem odpowiedzialności i z pełną świadomością konsekwencji.

Nie\* czuje się kompetentnym do komentowania ich od strony ściśle kościelnej. Trzeba jednak zastanowić się nad jej wymową ogólną.

Teza kardynała Lienart, według której pojęcia księży-robotnika nie dadzą się ze sobą pogodzić bez naruszenia istoty sakramentu kapłaństwa, musi ranić serce każdego katolika społecznie postępowego. Nie tylko dlatego, że jest krzywdzącą jednostronnością: byli księża - uczeni, byli księża - politycy (niektórzy nawet kierowali państwem lub partią), byli księża - wojskowi, byli księża - lekarze, inżynierowie (np. w misjach w krajach kolonialnych). Godził swe obowiązki lepiej lub gorzej, byli raz popierani, raz tolerowani, raz krytykowani. Nigdy jednak Kościół nie zajął tak formalnie negatywnego stanowiska w tej sprawie, jak właśnie w związku z działalnością księży - robotników. Czy dlatego właśnie - że chodzi o r o b o t n i k ó w? Obawiam się, że tak.

Jako katolik nie pogodzić się nigdy z klasową interpretacją zjawiska religii a tym bardziej Kościoła katolickiego. Niemniej trzeba stwierdzić, że w poszczególnych okresach zaznaczała się w Kościele katolickim przewaga określonych wpływów politycznych czy klasowych. Trudno mi zaprzeczyć, że decyzje podjęte nie dowiodą, iż w chwili obecnej na tym odcinku ujawniła się przewaga wpływów wrogich sprawie, o którą walczą klasa robotnicza we Francji i gdzie indziej. Wpływy te dążą do zaangażowania autorytetu katolickiego w tym kierunku, by uniemożliwić masom katolickim zbliżenie się i solidaryzowanie się z walką, jaką prowadzi dziś świat robotniczy.

Stwierdzamy istnienie dziś w świecie głębokich antagonizmów klasowych. Nie uważamy ich bynajmniej za zjawisko samo w so-

bie dobre. Uważamy jednak za swój ludzki obowiązek wziąć udział w tym konflikcie po tej stronie, która reprezentuje dla nas słuszniejszą sprawę i większe wartości obiektywne. Czynniki tak w wyniku sytuacji zastanej a nie dla tego, byśmy chcieli istnienia takiej sytuacji, lecz właśnie dla tego, że pragniemy jej likwidacji w tych realnych granicach, w jakich się to da zlikwidować.

Trzeba stwierdzić, że udział w walce świata robotniczego przeciw ustrojowi kapitalistycznemu, byle był zgodny z zasadami moralności chrześcijańskiej, jest dla katolika dozwolony.

Że się stało, że manewry i naciski reakcji doprowadziły do takiego kroku we Francji. Reakcja francuska już podniosła głowę i święci triumfy. W dzienniku katolickim „La Croix” jakiś ksiądz przeciwstawia postawie księży-robotników postać Leona Bluma, socjaldemokraty, bogacza o białych rękach, który, zdaniem autora artykułu, znacznie lepiej niż ordnaci księża - robotnicy umiał reprezentować interesy świata pracy. W przedmówieniu ostatecznej walki o ratyfikację lub odrzucenie układów bońskich i paryskich przesądzających o wstrzymaniu Wehrmachtu - lewicowe grupy katolickie są postawione w sytuacji „podjeżdżających katolików”. Sankcje kościelne z natury rzeczy obejmują tych ludzi, którzy byli jednocześnie przeciwnikami imperialistycznej polityki w Europie. Jak widać konsekwencje tego kroku są niesłychanie doniosłe - i fatalne.

Mauriac, czasem bardzo odległy od naszych stanowisk, poruszony sprawą księży - robotników napisał w dzienniku „Figaro”, że strata dla katolicyzmu francuskiego, spowodowana tymi decyzjami równa się stracie, jaką poniosłaby kultura francuska, gdyby na przykład wysadzono w powietrze jedną z bezcennych gotyckich katedr średniowiecznych. Jakkolwiek trzeba docenić to porównanie, wychodzące spod pióra człowieka rozkochanego w zabytkach kultury - chyba jednak byłoby lepiej poświęcić gotyckie katedry, niż los klasy robotniczej i los katolicyzmu w świecie, który powstanie wtedy gdy zginą szczątki kapitalizmu.

Wielkość i świętość sprawy, którą przedstawia nadprzyrodzona misja Kościoła katolickiego, katolicy poznają najlepiej w momentach, gdy ludzie Kościoła błądzą. Odmawiam sobie prawa sądenia intencji kogokolwiek w Hierarchii Kościoła, kto te decyzje wydał. Wierzę, że świętość Kościoła spowoduje, że i tym razem, jak już nieraz, wahała dziesięć wyrównają ludzkie błędy w ocenie historycznych perspektyw.

My zaś winniśmy tym bardziej usilnie pracować nad budowaniem sił katolickiego ruchu społecznie postępowego. Był to naprawdę katolicki i naprawdę i skutecznie uczestniczył w walce o postęp społeczny ludzkości.

Wojciech Kętrzyński

## Notatnik gospodarczy

### Naród bułgarski przed zadaniami drugiej pięcioletki

**O**BRADY VI Zjazdu Bułgarskiej Partii Komunistycznej, które odbyły się w Sofii w końcu lutego i początku marca br., poświęcone zostały omówieniu osiągnięć gospodarczych w okresie pierwszej pięcioletki, w ciągu której zbudowano podstawy socjalizmu, następnie zaś dyskusji nad dyrektywami dotyczącymi drugiego pięcioletniego planu rozwoju Bułgarskiej Republiki Ludowej w latach 1953-1957.

Wytyczne i dyrektywy tego Zjazdu, tak jak i II Zjazdu PZPR, zostały opracowane i uchwalone z pełną troską o człowieka. Ich szybka realizacja przyczyni się będzie do coraz szerszego zaspokajania potrzeb materialnych i kulturalnych ludzi pracy.

Naród bułgarski, aby zabezpieczyć sobie w przyszłości coraz szybszy wzrost stopy życiowej, musiał dokonać w ubiegłym okresie niemałego wysiłku. Przede wszystkim należało zrealizować zadania pierwszego planu pięcioletniego. Dokonano tego w rekordowym czasie czterech lat. Bułgaria za zafanego kraju rolniczego, w którym - przed objęciem władzy przez masę ludową - istniały jeszcze dość silne przytępienie feudalizmu, przekształciła się w kraj przemysłowo-rolniczy.

O szybkości tej zasadniczej przemiany struktury gospodarczej świadczą poniższe liczby:

Jeśli w roku 1939 produkcja przemysłowa wynosiła 33,8 proc. produkcji globalnej, a oparta na ekstensywnych formach gospodarowania produkcja rolnicza - 66,2 proc., to w roku 1948 produkcję tę wyniosły odpowiednio: 50,7 proc i 49,3 proc., natomiast w 1952 r. wzajemny stosunek tych działów gospodarki narodowej zmienił się zasadniczo: produkcja przemysłowa osiągnęła 66,6 proc. a produkcja rolnicza 33,4 proc. Równocześnie nastąpiło w rolnictwie poważne przeobrażenie idące w kierunku znacznego uspołecznienia gospodarki. I tak, w rezultacie licznego wstąpienia chłopów mało i średniorolnych do spółdzielni produkcyjnych, obszar ziemi, będący we władaniu tych spółdzielni, już w roku 1952 wyniósł 50,5 proc. wszystkich ziem uprawnych, natomiast liczba gospodarstw zrzeszonych - 52,3 proc.

Dzięki tym właśnie osiągnięciom - jak stwierdził Wylko Czerwenkow - stworzono warunki niezbędne do podniesienia dobrobytu i poziomu kulturalnego mas pracujących.

W związku z tym wytyczne określające zadania drugiego planu pięcioletniego przewidują, przy pełnym uwzględnieniu wielkości produkcji przemysłowej, znaczne wzmoczenie tempa produkcji rolniczej, która ma stanowić zasadniczy czynnik na drodze szybkiej realizacji wzrostu stopy życiowej ludności. W szczególności przewiduje się przeszczenie czterokrotny wzrost uprawy bawełny, znaczne podniesienie zbiorów pszenicy oraz - w związku z rozszerzeniem hodowli - powiększenie co najmniej o 80 proc. zbioru zboż przeznaczonych na paszę.

Wzrośnie również zasadniczo wydobycie węgla i produkcja energii elektrycznej, która dotychczas była zbyt niska w stosunku do potrzeb gospodarki narodowej.

Właśnie w związku z tymi zadaniami gospodarczymi została przewidziana dwukrotny wzrost inwestycji, przy czym największe nakłady zostały przeznaczone na rolnictwo, przemysł lekki, budownictwo socjalne i mieszkaniowe.

Równocześnie w dalszym ciągu będzie wzrastał udział produkcji przemysłowej w ogólnej produkcji, który to udział w 1957 roku wyniesie 53,4 proc. podczas gdy produkcja rolnicza osiągnie 26,6 proc. całej produkcji krajowej. W tym samym czasie realne dochody ludności wzrosną przeciętnie o 40 proc.

Ponadto wytyczne zawierają wskazania dotyczące pogłębienia współpracy z ZSRR, z krajami demokracji ludowej oraz rozwijania stosunków handlowych z krajami kapitalistycznymi.

W związku z tym Georgi Czankow, w swoim referacie wygłoszonym na zjeździe, oświadczył: „Koordynujemy plan rozwoju naszego przemysłu i rolnictwa z planami innych państw demokratycznych i pomagamy sobie nawzajem w budowie socjalizmu jako państwa równoprawnego”. Natomiast Wylko Czerwenkow podkreślił gotowość Bułgarii do rozwijania stosunków gospodarczych z krajami kapitalistycznymi.

Ze względu na to, że jedną z podstawowych cech gospodarki socjalistycznej jest jej ciągły rozwój - wydaje się oczywiste, że naród bułgarski również i drugą pięcioletkę wykona pomyślnie, przyczyniając się jeszcze bardziej do wzmocnienia obozu pokoju.

Z. U.

## SPRAWA DOMINIKANÓW FRANCUSKICH

**W**chwil, gdy ma się rozegrać ostatni akt tragedii księży-robotników, cała katolicka i nie tylko katolicka Francja wstrząsnęta została drugim, chyba jeszcze bolesniejszym ciosem.

Wiemy dobrze, czym jest zakon dominikanów dla katolicyzmu francuskiego, jaka jest jego olbrzymia rola we wspaniałym rozkwicie myśli katolickiej we Francji. Zbyteczne byłoby przytaczanie długiej listy nazwisk uczonych dominikańskich, których dorobek stał się podstawowy i niezastąpiony dla wszystkich współczesnych myślicieli chrześcijańskich. Ich oddziaływanie wykracza szeroko poza świat katolicki. Horyzonty myśli, ogromna erudycja i rzetelność intelektualna zyskała im szacunek nie-katolików, dzięki czemu rozszerzyli oni znacznie zakres oddziaływania i promieniowania myśli katolickiej. I właśnie ów tak wspaniale zasłużony katolicyzmowi - chluba Francji - zakon dominikanów został dotknięty zarządzeniami, które paraliżują jego rozwój.

Nagle, bez podania motywu, zdjęci zostali ze swych funkcji prowincjałowie francuskich prowincji tego zakonu i równocześnie najwybitniejsi uczeni teologowie, ojcowie Congar, Chenu, Boisssel i Férét zostali wydaleny z Paryża i zmuszeni do milczenia. Trzeba dodać, że dotknięci tym zarządzeniem zakonnicy poddali miu się z podziwu godną pokorą i poczuciem dyscypliny kościelnej, zaprzeczając tym samym wszelkim ewentualnym insynuacjom, dotyczącym rzekomych tendencji odrońkowskich, czy braku dyscypliny w zakonie dominikańskim.

Sprawa wywołała ogromne wzburzenie wśród opinii publicznej ogarniając nawet najbardziej konserwatywne i klerykalne kręgi katolicyzmu francuskiego. Aby dać obraz tych nastrojów, zacytujemy parę zdań François Mauriac z artykułu wstępnego „Figaro” z dnia 16 lutego br.:

„Cała żywnotna część Kościoła we Francji została potwornie uderzona: trzeba żeby kongregacje rzymskie o tym wiedziały”.

„Dziś - pisze on dalej - gdy zakon dotknięty został poprzec osoby

najwybitniejszych teologów, widzi my lepiej, jakie miejsce zajmuje on wśród nas i co sobą przedstawia: duch dominikański, to duch wolności w łonie Kościoła, w ściślejszej jedności ze Stolicą Piotrową.”

W zakończeniu artykułu czytamy: „Jestem przekonany, że jeśli trwać będzie nadal obecna ofensywa lekceważąca wkład świętego Kościoła francuskiego, uczącego inne i dającego innym przykład w dziedzinie filozofii, teologii oraz apostołatu misyjnego - wówczas cały naród, w osobach swych najlepszych synów, poczuje się przedmiotem ataku. Wydaje mi się, że jest w interesie Kościoła, aby w sporze tego rodzaju znalazł się on wobec rozmowy, który poza prawem do milczenia zachowa także inne prawa”.

Innego typu problematykę w związku z tą sprawą porusza opublikowana 25 lutego w prasie francuskiej deklaracja pięćdziesięciu intelektualistów francuskich, pod którą, obok innych najwybitniejszych świeckich pisarzy i publicystów katolickich widnieją podpisy reprezentatywnych przedstawicieli redakcji „Esprit” i „Témoignage Chrétien”. Figurują tam m. in. znane w Polsce nazwiska: Albert Béguin, Jean M. Domenach, Jean Lacroix, Jacques Madaule, M-me Mounier, Jean Babouline. Deklaracja mówi o dorobku i zasługach zmuszonych do milczenia dominikanów, w szczególności o „podziwiew i zaufaniu, który wzbudają oni jako ludzie i kapłani wśród ogromnej liczby tych wszystkich, którzy zostali oświeceni ich naukowymi poszukiwaniami, zostali uszczęśliwieni przed błędem ich ortodoksyjnością - ożywni i podtrzymani ich miłością chrześcijańską”. Dalej deklaracja mówi o godnych ubolewania skutkach podobnych ataków personalnych, stwierdzając, że jeśli najlepszy synowie Kościoła poczują się „pozbawieni poparcia Kościoła i zaufania ojcowie Jego Głowy” sytuacja taka „może pociągnąć za sobą poważne, wręcz nieobliczalne konsekwencje”.

Tekst ten poświęcony sprawie zakonu dominikanów wiąże się ściśle z zagadnieniem księży-robotników. I słusznie. Niepodobna bowiem zrozumieć sensu całej tej sprawy, gdy się nie skonfrontuje ze sobą

obu tych wypadków, które niemal równocześnie dotknęły katolicyzmu francuski.

Wprawdzie wymienieni teologowie dominikańscy nie byli bezpośrednio związani z księżmi - robotnikami, to jednak ich praca z zakresu teologii, ekologii czy moralności chrześcijańskiej, stanowiła niewątpliwie intelektualną podbudowę owego potężnego ruchu duchownych i świeckich katolików Francji, którzy wyrzekając się pełnego hipokryzji moralnego sybarytyzmu zaprzęgnięli w sposób twórczy wciełać w życie nakazy swej wiary.

Wszyscy ci uczeni zajmowali się zagadnieniami postawy chrześcijańskie wobec problemów, jakie stawia przed nim świat i życie współczesne, zależnie od głównej swej specjalności już to teoretycznym aspektem sprawy, już to praktycznymi etycznymi jej konsekwencjami. W rezultacie im przypadła w udziale główna rola w uprzytomnieniu współczesnym katolikom francuskim ogromu odpowiedzialności moralnej za szerzące się pod ich bokiem i za ich cichym przyzwoleniem klasyczne powroty z degeneracją cywilizacji mieszczańskiej, odpowiedzialności, której niepodobna oszukać jamuzną, ani biernym ubolewaniem.

Można zmusić do milczenia kilku poddanych surowej dyscyplinie klasztornej zakonników i można na pewien czas położyć kres ich pracy intelektualnej. Niesposób jednak skłonić do milczenia miliony swienników, których poczucie odpowiedzialności zostało rozbudzone, tak jak nie można wypłenić u tych milionów ludzi pasji poznawczej i zdolności do krytycznej refleksji. Nie chcą oni wierzyc, że jest poprawnym opisem rzeczywistości współczesnej ów sielankowy obraz jakiegoś średniowiecznego świata wzbogacony szeregiem pobożnych życzeń autorów tego opisu. W ślad zaś za pełnym troski spojrzeniem na otaczającą ich rzeczywistość społeczną idą nieuchronnie wazkie konsekwencje zarówno religijne - przede wszystkim w dziedzinie apostołatu i jego form, jak moralne - w życiu społecznym.

AN K.



# METODY CYWILIZOWANIA INDIAN\*)

(w pierwszym okresie nowożytnych dziejów kolonialnych)

WYPRAWA Kolumba zapoczątkowała całą serię odkryć geograficznych, mających większe znaczenie niż odkrycie wreszcie przez Portugalczyków drogi morskiej do Indii, dokonane w roku 1498. Stopniowo Hiszpanie odkrywają i sadowią się na archipelagu Bahama, na Antyllach, w Ameryce Środkowej. W latach 1519-21 Fernando Cortez zdobywa Meksyk, w roku 1535 Kalifornię, w roku 1532 Francisco Pizarro podbija Peru, inni Hiszpanie równocześnie rozszerzają panowanie hiszpańskie nad całą Ameryką Środkową i Południową z wyjątkiem Brazylii, którą w roku 1500 odkrył portugalski żeglarz Pedro Alvarez Cabral. Hiszpania i Portugalia stały się potężnymi państwami kolonialnymi. Pierwszy okres nowożytnej historii

jętmy. Zaczęła się od razu, „od pierwszego ukazania się okrętu Europejskiego” niedola Indian, choć dopiero stopniowo, rzecz prosta, przybrała ona większe rozmiary. Indianie najprzód uciekali przed białymi, potem gdy biali okazywali się uprzejmi, Indianie zaczęli się zbliżać i — jak pisze Kolumb — „nie ukrywali przede mną i moimi ludźmi tego, czego ja lub moi ludzie zażądaliśmy od nich”. Zaczęły się wzajemne stosunki handlowe. Sama ich nazwa hiszpańska, rescates, wskazuje na to, jakiego one były rodzaju. Do słownie oznacza ona odkupienie z powrotem, ale jak pisze badacz dziejów tego handlu „chodziło o

się zmniejszać, przywożono innych z okolic dalszych, urządzając częściej prawdziwie na nich polowania. Do tego celu tresowano nawet specjalnie psy, „krwawe psy”, jak je Indianie nazywali. Bicie i zabijanie Indian było zjawiskiem stałym. Zaczęła się „futrzenka ery produkcji kapitalistycznej, skarby zagrabione poza Europą za pomocą rabunku, ujarzmięcia i rzezi, wracają do kraju macierzystego i tu przeobrażają się w kapitał” (Marks, Kapitał T. 1). Wprawdzie zjawisko to rozwinięte na wielką skalę dopiero później, a Hiszpanów i Portugalczyków przewyższa jeszcze Holendrzy i Anglicy, to jednak system ujarzmięcia „ludów koloro-

wieckich, że nie jest to prawdą, bo w gruncie rzeczy koronie hiszpańskiej chodziło tylko o monopol na eksploatację krajów nowo odkrytych, któremu wcale nie myślała się poddać masę parazytów szlacheckich. Tym ostatnim po zakończeniu walk z Muzułmanami i wojen wewnętrznych wysychały ustawnie źródła utrzymania. Nie umiejąc i nie chcąc pracować, nie pragnęli oni wyciągać kasztanów z ognia ani dla królów ani dla ich namiestników. Trzeba było z nimi zawrzeć kompromis i podzielić się eksploatacją.

Korona hiszpańska przeprowadziła swobodę osobistą Indian chrześcijan, ale przydzielano ich wraz z ziemią w różnych ilościach Hiszpanom, tworząc tzw. repartimiento. Ich formą łagodniejszą były tzw. encomiendas, tj. oddawanie pewnej liczby Indian w opiekę pojedynczym Hiszpanom, którzy mieli dawać im pracę, utrzymywać ich w wierze i cywilizować. Był to „patronat wilków nad owcami”. W sytuacji Indian nie zaszła żadna istotna zmiana, wolni nie byli lepiej traktowani niż niewolnicy, bo korona bynajmniej nie znieśli całkowicie niewolnictwa, nakazując obracać w niewolę Indian ludożerców i tych, którzy nie chcieli przyjmować chrztu. To pozwolenie dawało pole do nieograniczonych nadużyć. Indian nie było dość, więc nie mogli dowiedzieć, że nie jest ludożercą, natomiast łatwo było stwierdzić, że nie ganił się do przyjmowania wiary, którą mu przyniesili jego krzywdziciele, choć to jedynie mogło mu często uratować życie. Dzisiejszy historyk Kościółca, ks. Karol Eder pisze, że połączenie polityki misyjnej z kolonialną zostawiło tubylcom tylko wybór między chrztem a wytepieniem. Istnieje podanie o wodzu indyjskim Hatueju, który po skazaniu go na śmierć za opór przeciw najęźdźcom, odmówił przyjęcia wiary chrześcijańskiej, gdy dowiedział się, że jego kaci też mają nadzieję dostania się do raju (E. Williams). Najlepszy znawca rządów ówczesnego króla hiszpańskiego Karola, Karol Brandt pisze, że tę straszną rzeczywistość ilustruje najlepiej obok eskarg Las Casasa nieco późniejsza kronika obrazowa Indianina Guamana Poma (obecnie

Indianie porywali się często do buntów, ale te były krwawo tłumione. Dominikanin Las Casasa pisał w r. 1542, że w ciągu 40 lat trzy milionowa ludność indiańska wyspy Haiti zmniejszyła się do liczby 200 osób, wyspa Kuba zamieniła się w pustynię podobnie jak Porto Rico, Jamajka i wyspy Bahama. Tenże Las Casasa sądził, że w ciągu tych 40 lat na skutek okrucieństw i nieludzkiego postępowania Hiszpanów zostało wytepionych przeszło 12 milionów Indian. W twierdzeniu tym jest wiele przesady, gorliwy dominikanin przejawiał fakty i nadmiernie wielkie podawał liczby, ale mówił prawdę o stopniowym wymieraniu Indian. Część ich wytepił Hiszpanie za stawianie oporu zbrojnego, pozostali wymierali na skutek ciężkiej pracy, do której nie byli przyzwyczajeni, często z głodu i na skutek chorób. Bardzo częste były wypadki samobójstwa, zdarzało się też, że kobiety mordowały swoje dzieci. Dzisiejszy historyk tych spraw ujął je w krótkie, ale pełne treści zdanie: „wśród Indian z Indii Zachodnich zniknęła chęć do życia” (H. Plischke).

Tak się zaczęło wielkie „dzieło cywilizacyjne” ludów europejskich w Ameryce. Miało ono i pewne strony dodatnie, wnoszą do Ameryki wyższą technikę, wyższą oświatę, choć setki tysięcy ludzi nie mogli z tego korzystać. Poza tym, rzecz prosta, nie wszyscy Hiszpanie byli jednakowo okrutni. Należy nawet dodać, że nie tyle oni, ile raczej system był okrutny. Łagodnie on jednak dopiero w drugiej połowie XVI w. i stosunki w koloniach hiszpańskich zaczynają ulegać pewnej normalizacji, gdy Indian jako główną siłę roboczą zastąpił Murzyn i gdy zaczęła coraz więcej nabierać znaczenia nowa potęga kolonialna, Holandia.

Okrutnego traktowania Indian nie należy zatem tłumaczyć tylko chciwością, chęcią wzbogacenia się i okrucieństwem Hiszpanów, jak sądził np. Las Casasa. Przyniosli oni bowiem do Ameryki pewne poglądy, które im pozwały na takie traktowanie Indian, a czasem po prostu nakazywały. Ludzie o klasycznych horyzontach myślowych, przybywszy do Ameryki i zetknąwszy

pełnie dzicy, Hiszpanie w koloniach nie byli pewni czy Indianie są naprawdę ludźmi a nie jakąś rasą zwierzęcą, zbliżoną do ludzkiej. Duchownicy hiszpańscy mieli wątpliwości czy można ich chrzcić i dopuszczać do sakramentów. Człowiek biały w średniowieczu wszystko łączył z religią, religia przenikała całe przeciwieństwo życia człowieka średniowiecznego, a więc i surowe traktowanie Indian musiało znaleźć swoje religijne uzasadnienie. Indianie byli w oczach ógółu Hiszpanów poganami i synami diabła, o czym świadczyła nawet ich skóra brunatna, a więc wolno ich było teścić, to był nawet dobry skutek. Występujące u niektórych plemion indyjskich zjawisko składania bogom ofiar z ludzi Hiszpanie uważali za widoczny dowód panowania szatańskich Indianami. Mieszkańcy kraju, w którym co roku krwawe ofiary pochłaniały inkwizycja, obrzuli się na robenie tego samego przez Indian. Zakazywano im nawet częste kąpienia się, bo i to wydawało się Hiszpanom dziwne. W r. 1511 król nakazał zbieranie dzieci Indian, bo te łatwiej było wychowywać w wierze, co jednak — jak sądzi Altamira — prowadziło do wielkich nadużyć i do niszczenia rodzin indyjskich. Jak ironia niemal brzmia dziś słowa brewe papieża Pawła III do kardynała Juliana de Tavera z 1537 r., że Indianie są ludźmi i dlatego zdolni są przyjmować wiarę chrześcijańską i osiągać zbawienie wieczne (cum homines, ideoque fidei et salutis capaces sint). Analogiczne brewe wysłał tenże papież w 10 lat później do króla Karola I.

Nie tylko jednak Indianie byli ofiarami systemu kolonialnego. Los ich już wcześniej zaczęli dzielić Murzyni. Porywanie i kupowanie Murzynów sięgają dawniejszych czasów. Specjalistą w tym handlu były przede wszystkim Portugalczycy, ale rywalizowali z nimi później skutecznie także i Hiszpanie. Trudno powiedzieć, kiedy chrześcijaństwo zetknęło się po raz pierwszy z Murzynami, w każdym razie do w. XV do Afryki Centralnej i Południowej prawie nie docierało. Nowy okres w dziejach stosunku chrześcijan europejskich do Murzynów zaczął się dopiero w w. XV, gdy zetknęli się z nimi Portugalczycy. Od razu zaczęło się chwytnie ich jako niewolników, zaczął się wielki handel niewolnikami murzyńskimi. Chrzczono ich przy tym, co prawda, ale to nie zmieniło ich sytuacji społecznej. Ci chrześcijanie portugalscy uważali Murzynów tylko za bydło robocze i za towar, który zawsze można było sprzedać. Po każdej wyprawie do Afryki, która przywoziła nowych niewolników, urządzano nabożeństwo dziękczynne do Boga. Już od początku XVI w. Portugalczycy zaczęli importować Murzynów do Brazylii, w ślad za Portugalczykami poszli i Hiszpanie. Nikt się tym nie widział, nie z tego, nikt się tym nie gorszył, żaden autorytet moralny tego procederu wówczas nie potępiał. Jeden tylko mnich franciszkański, głosny wprawdzie teolog i filozof, przeciwnik św. Tomasza, Duns Szkot w XIII w. uważał, że niewolnictwo jest niezgodne z prawem natury, ale mało kto przejmował się tym twierdzeniem gdy chodziło o Murzynów. Niewolnictwo zwalczali najgorzej, choć poza tym Dunso wali byli przeciwni tylko dominikanie, ale i oni bronili głównie Indian a nie Murzynów. Ze Murzynami, aż do połowy XVI w. nie upominał się nikt. Hiszpanie zaczęli przywozić najprzód na wyspy Antylskie Murzynów - niewolników wówczas, gdy zabrakło Indian, bo tych na Antyllach częściowo wytepieno, częściowo zaś powymierali sami. Murzyni lepiej nadawali się do ciężkiej pracy, rychło też

(Dokończenie na str. 4)



Powrót Corteza z Meksyku

kolonialnej, trwający blisko do końca XVI w., to okres portugalsko-hiszpański.

Wszystkie ekspedycje, kierowane do Ameryki przez obydwa te państwa, miały dwa cele na widoku: ekonomiczny i religijny, a raczej — ściślej mówiąc, cel tylko jeden, ekonomiczny, bo drugi, choć stał się podkreślany, był w gruncie rzeczy, bodaj wtórnym dodatkowym, służącym często za parawan dla pierwszego, ten zaś był właściwie istotny. Z mimowolnym bez wątpienia cynizmem pisał już o tym Kolumb w liście z czwartej swojej do Ameryki podróży: „Złoto daje bogactwo, a ten, kto je posiada, może robić na świecie to, co chce, może także przy jego pomocy dusze do raju wprowadzać”. Słynny psycholog Lombroso nazwał Kolumba genialnym psychopata, głosny pisarz niemiecki Jakub Wassermann nawet w tytule swej książki dał mu nazwę „Don Quichotte des Ozeans”, są zaś tacy, którzy go uważają za prawdziwego sługę Boga, robią go niemal świętym. W rzeczywistości był on tylko tym człowiekiem XV wieku, w którego przekonaniu majątek miał służyć religii, a religia miała być pomocą w zbieraniu majątku. Charakterystyczną dla mentalności tych ludzi była nazwa głośnego potem miasta, które założyli wiosną 1519 r. na wschodnim wybrzeżu Meksyku Villa Rica de Vera Cruz (miasto bogate prawdziwego krzyża), „nazwa symboliczna, mieszanina ducha wyprawy krzyżowej i pragnienia złota” (H. Hauser).

Od Kolumba poczynając, niemal wszyscy, którzy się udawali do Ameryki, chcieli w niej zrobić majątek, a przy okazji i rozszerzać wiarę chrześcijańską. Jechali członkowie zrujnowanej ekonomicznie szlachty, jechali wszelkiego rodzaju awanturnicy i poszukiwacze przygód, a często także złoczyńcy, którym się w kraju gruntu palił pod nogami. Wraz z nimi jechali księża świeccy i zakonnicy, ale i dla nich cel ekonomiczny nie był obo-

dzyskanie raczej siłą niż za zapłatę, tak jak się wchodzi w posiadanie tego, co nieprzynajmniej zagarnął” (A. E. Sayous). W praktyce wyglądało to z początku nieco łagodnie, Indianom dawano kapelusze kolorowe, paciorki szklane „i wiele innych rzeczy o małej wartości” — jak pisze Kolumb. Na przykład obręcz z beczek, a później także dzwonki, lusterka, nożyczki, a za to brano od nich początkowo głównie bawełnę, potem złoto. Odkrywcą Meksyku, Cortez, twierdził wysłannikowi Azteków, że Hiszpanie mają chorobę serca, na którą złoto jest najlepszym lekarstwem.

Później w miarę osładzania przybyszów z Europy na stałe, ustalały się inne formy handlu. W handlu Indianie nie byli stroną, lecz tylko ich panowie czy to jako właściciele, gdy tubylcy stali się gdzieś niewolnikami, czy jako „opiekunowie” tubylców. Ci panowie prowadzili tylko handel z macierzą. Handel z tubylcami utracił już znaczenie. W coraz rzadszych stosunkach handlowych z Indianami „Europejczyk nie dawał prawie nic a otrzymywał stosunkowo wiele” (A. E. Sayous). Zresztą cała działalność handlowa w koloniach miała prawie wyłącznie na celu zaspokajanie potrzeb kraju macierzystego.

Ale to była tylko jedna strona działalności Europejskich w koloniach; były i inne ściśle zresztą z nią związane. Stopniowo niszczone ustroje polityczny i społeczny Indian, niszczone ich kultury, zakazywano im wyznawania dotychczasowej religii, „świętynie zaś burzono, by okazać niemoc bogów indyjskich i wszechmoc Boga chrześcijańskiego” (H. Plischke). Wyzyskując walki wzajemne plemion indyjskich, tym łatwiej pokonywano wszystkich. Indian zamieniano w niewolników lub zmuszczano do ciężkich prac na plantacjach i w kopalniach, wyzyskując ich przy tym niemiłosiernie. Gdy wskutek złego traktowania liczba Indian w jakiejś okolicy zaczęła

znowu wzrosnąć na wielką skalę pierwsi Portugalczycy i Hiszpanie. Już Kolumb po powrocie z pierwszej swojej wyprawy do Ameryki przywoził ze sobą Indian niewolników, a choć instrukcja królowej kastylijskiej Izabeli nakazywała mu przede wszystkim nawracać Indian i traktować ich łagodnie, znowu w r. 1493 przysłał całą ich gromadę na sprzedaż do Hiszpanii. Izabela kastylijska, a potem Karol I (jako cesarz zarządem Karol V), wydawali wprawdzie sze-



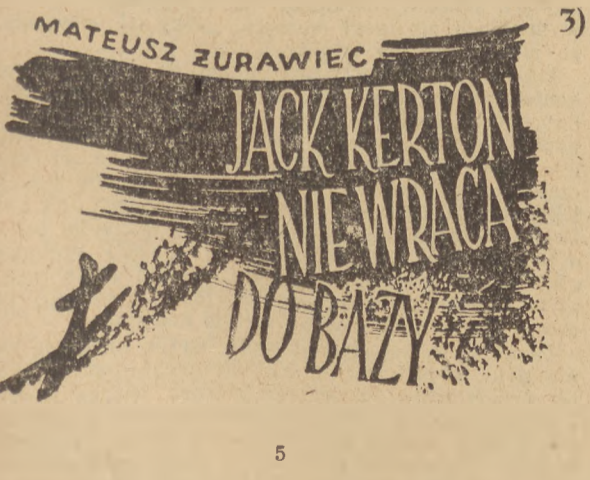
Cortez kazał tubylcom wydobywać działa z morza. (Rysunki z tkaniny Tarcala)

reg instrukcji na korzyść Indian, zakazywano im obracać w niewolników, nakazywano łagodność w stosunku do nich, ale te rozporządzenia wcale nie wchodziły w życie. Mieszkańscy historycy hiszpańscy, zresztą dość postępowy, Rafael Altamira y Crevea sądził, że działo się to z przyczyn niezależnych od króla, ale słusznie zwrócić uwagę jeden z historyków so-

w Kopenhadze), która przedstawia blagającego o miłosierdzie Indianina otoczonego przez smoka, pumę, jaguara, szczurą i kota; są to urzędnicy i nadzory hiszpańscy oraz ksiądz, w stosunku do których Indianin jest zrozpaczony i bez obrony. Zabierają mu oni wszystkie, ziemię wraz z domem, żonę, dzieci, zdrowiem i życiem.

W rezultacie takiego traktowania

czy się z odmienną od swojej, często istotnie niższą kulturą, uważali ją po prostu za barbarzyńską, a mieszkańcy Ameryki traktowali jako ludzi dzikich. Już w roku 1436 król portugalski Edward prosił papieża Eugeniusza IV o pozwolenie na zdobycie wysp Kanaryjskich, motywując swą prośbę tym, że mieszkańcy ich „w pogaństwie życie pędzą jak bydło” i że są zu-



LENOCH utykał coraz bardziej. Mac Gleen pomagał mu jak potrafił, ale i on już zmęczony się długą drogą w kopnym śniegu. Porucznik mimo znużenia czuł się lepiej. Wyparowała z niego obiedna chwila strachu pod dębem. Usiłował nawet — zezując nienawistnie i lękliwie ku eskortującym ich czwórcę — nawiazać rozmowę z sierżantem. Ale Mac Gleen patrzył gdzieś w bok, zdawał się nie słyszeć zadyszanej gadaniny Lenocha.

— Te zasrane żółtki mają jednak jakieś resztki szacunku dla międzynarodowego prawa o właściwym traktowaniu jeńców. Za posiekanego Jima będą jeszcze musieli zapłacić. Przypomni się dranom konwencje genewską. Ale żeby nie pan, sierżancie, i nas łamie skurczybki rozszarpatyby w kawałki. I nas parę wałnął ich pan tym jednym słowem. Stanęli jak wrzyk. No, i nesi opiekunowie zdążyli. Jakież mądre słowo pan wykombinował? Cholera, już zapominałem! Ale coś ważnego musi znaczyć, nie?

Mac Gleen spojrzął krótko na Lenocha. Miał w oczach błysk, którego nigdy nie chce widzieć przełożony u podwładnego. Po chwili jednak odwrócił

znowu głowę w bok, obserwując jednego z eskortującej ich czwórci; tego, który przemawiał do tłumy. Widocznie dowodził patrol. Jakis podoficer lub oficer. Na twarzy świętej mrozem błyskały druczki okularów. Nie zwracał żadnej uwagi — jak i trzech jego towarzyszy — na pełne sapania i postępowanie pe-rory Lenocha.

— Co za bydło! Z motykami na rannego żołnierza. Już O'Kelly chyba był ranny, nie? Napisze się o tym kiedyś, opowie się kemu trzeba. Niech świat wie, jaka jest prawda. Tak, opowie się, jeśli nas nie rozwałą. Nie pamiętam nic z kursów językowych Ash-forka, ale pamiętam, co mówił o tym ciemnym cham-stwie. Podobno męczą człowieka przed śmiercią na różne diabelskie sposoby. Co, Gleen? Powiedź!

W głosie Lenocha było coś więcej niż pytanie. Była prośba o protest, o przekreślenie natrątnych myśli, które znowu nasiąkały strachem. Mac Gleen nie odzwał się ani słowem.

— Zamurowało coś, czy jak? Nie będzie do kogośby otworzyć. Z tych żółtych małp żadna po naszymu ani me ani be. Ładny bajzel! Otrząśnijcie się, Mac Gleen. Wśród tego draństwa tylko my dwaj możemy pogadać jak ludzie. Musimy się trzymać. Chyba się nie ośmiela, co?

Gadał coraz bardziej chaotycznie, nerwowo. Wreszcie szarpał milczącego sierżanta za rękaw.

— Powiedźcie coś, do cholery! Rozkazuje!

Sierżant rzucił ukośne spojrzenie ku eskortowie i syknął przez zęby wyraźnie, choć cicho:

— Stul pysk, sukusiny.

Dopiero wtedy porucznik Lenoch zrozumiał w nagłym ośnieniu, że to co go zawsze niepokoiło w sierżancie, to była pogarda i wstręt, jaką odczuwał w tej chwili, niby splunięcie w oczy.

Wyszli na ubitą drogę. Żołnierze poprawili karabiny. Boczna, wyłożona kamieniami ścieżka wiodła do okolonych drutem baraków. Po podwórzu kręcili się ludzie z opaskami Czerwonego Krzyża. Podoficer w drucianych okularach wprowadził jeńców do małego pokoiku, przesyconego wonią chloroformu i jodu. Za stołem siedział gruby, okutany w biały fartuch starzec. Na ławie koło pieca leżał ktoś owi-

nięty w żółty sznyel. Przy otworze paleniska siedział w kuczki zasuszony jak grzyb, choć dopiero dochodzący chyba czterdziestki sanitariusz i dokładał do bujającego ostro ognia. Skośno oczy raz po raz szybko omiatały pokój. Na lewe oko zapadała mu co chwila, jak sennej kurze, żółtawa fioletowa powieka. Obok przykucniętego stał młody żołnierz. Oczy starego lekarza za stołu stwardniały na widok wprowadzonych jeńców.

Zwrócił się już do oficera w okularach, by dać mu jakies niechętnie pytanie, gdy za drzwiami dał się słyszeć dygot motoru samochodowego, jakies meldunki, rozkazy i okrzyki i do pachnącego apteką pokoiku weszło trzech sanitariuszy. Zatrzymali się na chwilę w progu, odgarnęli szron z włosów, jeden przesuwał dłoń po oczach, jakby odrzucając za siebie żył sen i podchodząc kolejno do stołu składali przed lekarzem naczelnym małe szklane ampułki. Najmłodszemu wydobył z torby i — posługując się pensetką — na szklanej tafli pod mikroskopem złożył zdechłego szczurę i na pół zgniały rybę. Siwy w białym fartuchu pochylał się nad ampułkami, notował coś na mapie, rzucając krótkie, urwane, nagłe chrapiawe zdania ku otaczającym go sanitariuszom. Między tymi zdaniem dźwięczała chłodna cisza.

Lenochem targnął suchy kaszel. Wszyscy zwrócili ku nim głowy, jakby dopiero teraz sobie o nich przypomnieli. Porucznik zeszytywał pod ostrzałem spojrzeń skośnych oczu. Podszedł do niego oficer w drucianych okularach i odezwał się spokojną, poprawną angielszczyzną:

— Pan wspominał w drodze o konwencji genewskiej. W tych ampułkach — wskazał na stół — zebrano przed godziną część bakteriologicznego zrztu. Owady są zakażone tyfusem, biegunką, dżumą i cholerą. Rozsiano je z waszego samolotu. Jak pan określi stosunek tej zbrodni do prawa międzynarodowego?

Lenoch gapił się na mówiącego z otwartymi szeroko ustami. Suchy jak grzyb sanitariusz spod pieca podniósł się i wzięł spojrzeniem obydwu.

— Pan milczy? W drodze był pan bardzo wymowny. Mówił pan co prawda bardzo brzydkim językiem,

Gdyby moi studenci w Phenianie tak kalczyli na seminarium angielskim mowę Szekspira — nie dopuściłbym do colloquium. Ale nawet swoją brzydka gwara niech pan powie: iak nazwać walkę, w której ludziami, broniącymi swego kraju i wolności posyła się zakażone świerszcze, wszy, pęchły, komary? Czemu pan milczy? Nie wierzy pan faktom przez siebie tworzonym? Niech pan odповіj jak to — wskazał znowu na stół — zadumiona ryba znalazła się na suchym wzgórk, wśród czerwonych, koreańskich sosen?

Ktoś na ławie pod piecem zawył jak pies. Żywy tobił spadł na podłogę. Z fald żółtego sznyela wyjrzała przerażona, nieprzytomna pocentkowna szkarłatnymi wypiekami twarz porucznika Kertona. Stojący pod piecem Pen-hu podskoczył ku niemu, gdyż rozgorączkowany jeniec rwał się ku drzwiom, jakby chciał uciec od widoku śniętego karpia, leżącego na szklanej tafli pod mikroskopem. Koreańczyk pchnął lekko Kertona na ławę. Opadł na nią zmęczony nagle i zmięty jak lachman.

Lenoch powoli zamknął usta. Oficer w drucianych okularach nie patrzył już na niego. Podszedł do siwego lekarza, który na przypiętej pineskani do szafy mapie rejonu Hoandzu określał punkty bombardowania napalmowo-bakteriologicznego. Napałm — żółta kredka. Bakterie — czerwona.

Po chwili przypomniał sobie o jeńcach, bo zwrócił się z rozkazem do Pen-hu.

— Przesłuchanie odkładamy na później. Odprowadź do baru C. Zastrzyki. Opatrunek. Karbol.

Żołnierz jakby nie słyszał rozkazu.

— Czemu stoicie?

Pen-hu stał nieruchomo wychylony do przodu. Oczy rozszerzone, oczy, zdawałoby się, bez powiek, śledziły z bolesnym napięciem ruch ręki siwego doktora przy mapie. W tym samym kierunku zwróciły się oczy za drucianych okularów. Mapę obserwował także bacznie sanitariusz z opadającą powieką.



## NA BEZDROŻACH FORMALIZMU

1.

**F**ORMULUJĄC swe poetyckie wyznaczenie wiary: „E del poeta il fin la meraviglia” nie przypuszczał zapewne Giambattista Marini (1569–1625), że wypowiada zarazem manifest znacznego odłamu formalistów. Znacznego, gdyż cyrkowa ekwilibrystyka formy „marinistów”, wyolbrzymione, nienaturalne obrazy i metafory, mające nade wszystko zadziwiać, nie wyczerpują istoty zjawiska, które jak bacna ścieżka, pokrecona dziwacznie, lecz uparta, wije się nieopodal głównego traktatu literackiego od czasów antycznych.

O formalizmie wspomina się ostatnio często, stawiając go w rzędzie schorzeń współczesnego piśmiennictwa. Przypadek ta na szczęście nie ma charakteru epidemicznego. Tu i ówdzie tkwią izolowane ogniska zarazy, zdające się zatem może, że wystarczy zakazane miejsce oshlapać obficie wapnem, wywisnąć tablice ostrzegawcze, najbliższemu oczoniu zaaplikować solidne dawki środków zapobiegawczych, by niebezpieczeństwo zażegnać. W praktyce jednak walka z tą chorobą nie jest łatwa. Krytyka literacka stawia diagnozę formalizmu dość często, lecz w późniejszej prywatnej rozmowie niejedynemu diagnosta, zapytany o bliższe właściwości schorzenia, o jego rodowód, przebieg i skutki, z zazenowaniem rozkłada ręce. Przyznaje się, że z konieczności zajmując postawę lekarza-intuicjonisty, który kieruje się bardziej wyczućciem niż znajomością patologii. Dla innych formalizm literacki kojarzy się z pojęciem zarazki przesączalnego wirusa, który draży organizm, lecz wymyka się aparatom badawczym.

Najnowsze badania medyczne wykazują jednak, iż wirus nie jest zjawiskiem leżącym poza możliwościami poznawczymi medycyny, zaś nauka o literaturze i krytyka znajdują się w jeszcze lepszym położeniu. „Karty chorobowe” różnych twórców z różnych epok pozwalają nam włącznie dokładnie ustalenie istoty formalizmu, jego następstw literackich i możliwości przeciwdziałania.

2.

**P**UNKT wyjścia do określenia formalizmu stanowi zagadnienie formy w dziele literackim. Swoiście formy i jej oddziaływanie na odbiorcę jest właściwością danej sztuki. W formie tej dopiero uwidaczniają się treści, które artysta pragnie przedstawić. Bez swojej formy artystycznej treść literacka zesłaby na pozycje artykułu, wykładu czy kroniki prasowej. Przywilejem literatury, dzięki operowaniu formą, jest możliwość zagęszczenia treści do tego stopnia, że istotę wielkich problemów lub przynajmniej ich perspektywy potrafi zawrzeć w kilku zdaniach czy w zwrotce wiersza.

Nasyconie różnych sztuk formą nie jest jednakowe. Najsilniejsze wydaje się w muzyce i w rzeźbie. Przeważająca granica leżałaby na periferiach literackich, na granicznych pozycjach prozy publicystycznej, gdzie wymagania formy ograniczają się do minimum kanonów władania językiem i formułowania myśli. Na tych pozycjach wartość dzieła sprowadza się niemal wyłącznie do jej czystego treściowego ładunku. Przy tym wszystkim pamiętać należy, iż forma w dziele jest zjawiskiem służebnym, zjawiskiem z płaszczyzny środków, a nie celów.

Formalizm natomiast oznacza autonomizację problemów techniki literackiej, oderwanie ich od społeczno-historycznego, nieradko zaś również od psychicznego podłoża. Z długiego rzędu kryteriów, służących warsztatowi literackiemu, ruguje się wszystkie, niezwiązane z techniką pisarską. Te ostatnie pozostają samotne na arenie, jako jedyne sprawdziany wartości.

Choć formalizm odrzuca zdecydowanie socjologiczne, psychologiczne i metafizyczne przesłanki, oceny dzieła do niego samego da się wspaniale za-

stosować niejedną odrzuconą miarą. Jest bowiem nieodrodnym dzieciem określonej socjologicznej formacji, dziedzicem zamiennego postawy psychicznej, następującej ściśle zdeteminowanych koncepcji filozoficznych i stosunku do życia. Wypływa zatem ze źródeł, których znaczenia uznać nie chce.

3.

**J**AKIEŻ okoliczności rodzą formalizm? Często jego przyczyną staje się osamotnienie pisarzy, ich grup, lub pewnych pokoleń literackich. Często tęsknota za odchodzącymi kształtami życia w dobach przemian popycha twórców, zapóźnionych wobec historii, do kurczowego chwytania się przeszłych form, z których treść niepowstrzymanie wycieka. Rodzi się kult tych form, jako ucieczki od nowych, niezrozumiałych, czy też niezaakceptowanych treści. Dzieje literatury obfitują w wyraziste przykłady tego zjawiska. Można by ich szukać już u Tebanczyka Pindara (VI/V w. a. C).

Należą do nich centony, częste w późnym antyku i w średniowieczu. Wyraz cento oznaczał pierwotnie suknię, zszycą z łachmanów i strzępów, następnie stał się określeniem utworu poetyckiego, sklejonego z pojedynczych wierszy innych poetów, zazwyczaj wielkich twórców przeszłości. Wśród nich największym powodzeniem cieszyli się Homer i Wergiliusz. Średniowieczne centony nawiązywały ściśle do tematyki chrześcijańskiej np. bizantyński złotek 2610 wierszy Eurypidosa pt. „Christus patiens” (Chrystus cierpiący), czy późniejsza (z XVII w.) opowieść Stefana de Pleure o działalności Chrystusa wierszami Wergilego pt. „Sacra Aeneis”, Przełom Renesansu odgrzebywał świat antyczny. Wielu poetów chrześcijańskich w obronie przed pogańską treścią antyku, usiłowało kurczowo zatrzymać uroki samej jego formy.

Autonomizację techniki literackiej zdradzają dzieła wspomnianych już marinistów; do tego samego nurtu należy maniera prozy angielskiej z XVI w. tzw. „eufuizm”, oraz „gongoryzm”, sztuczny styl naśladowców Luisa Gongoray Argote (też XVI w.). Tęsknota za utracą przeszłością i jej formami dźwięczy w sonetach Andrzeja Morsztyna.

Bunt pisarza, niezadowolonego, że świat rozwija się nie w myśl jego pragnień, popochna twórcę do zamknięcia się w kręgu słowa, które na wzór cyrkowych sztuczek istotnie lądzić może tylko podziw, jako jedyny posiew działań, miżerny, choć błędnym odkryty. Z igraszek tych tworzy się świat własny, złudny, lecz znany twórcy i bliżki.

Ten aspekt formalistycznej postawy odpowiada na gruncie filozofii idealizmowi, który przynajmniej światu jedynie byt ponysłany, niezeczywisty. Dlatego też wszelki formalizm prędzej czy później bierze rozbrat z światem, kończy nieuchronną deformacją rzeczywistości; w pewnej mierze ilustrują ten stan rzeczy deformatorskie przykłady literackiego formalizmu dwudziestolecia, utwory Szulca i Gombrowicza.

Idealizm, skrajny subiektywizm, a wreszcie solipsizm w stosunku do życia i w koncepcjach literackich odrywają z czasem twórcę i dzieło od odbiorców. Pisarzowi przestaje zależeć na szerokim gronie czytelników, czy na czytelnikach w ogóle. Rozkoszuje się hermetycznością swych plodów. Tu formalizm literacki będzie wiązał się z koncepcjami czystej sztuki, czystej formy; będzie oznaczał ucieczkę od świata w krąg wąskiej elity, zdolnej zrozumieć dzieło. Im elita jest węższa, tym cenniejsze (oczywiście w skali formalistycznego wzorca wartości) jest dzieło. Stąd zamienną dla środowiska symbolistów, czy nadrealistów upodobanie do snobistycznych publikacji o nielicznej ilości egzemplarzy — kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu dla wtajemniczonych. Użytkowość jest w tym światku skazą, jest dla jego członków dziwnym, nieuzasadnionym

uroszczeniem świata, którego istnienie zdaje się być niewytłumaczalnym majakiem. Świat solipsysty istnieje bowiem nie tyle, na ile zechce go rozbudować własna wyobraźnia.

4.

**F**ORMALIZM występuje również na styku tradycyjizmu i tendencji rozwojowych w sztuce, tam, gdzie konserwatyzm dąży do dogmatyzacji kanonów estetycznych i odgrywa rolę hamulca. Ta strona zjawiska wiąże się z pierwszym spłotem przyczyn, z osamotnieniem ideologicznym, lecz jest najczęściej udziałem krytyków i wyraża na gruncie teoretycznych rozważań. Oba oblicza zjawiska zaprezentowali w naszej przeszłości literackiej pseudoklasycy w sporze z obozem romantycznym. Kurczowe trzymanie się coraz bardziej sztywnych i kosztownych przepisów estetyki klasycyzmu doprowadziło do przestworzenia zagadnień techniki pisarskiej. Romantyczne ządanie swobody twórczej h'ło na tym podwórku kamieniem obrazy. Epoka klasycyzmu ukazuje ponadto na groteskowych przykładach, jak kult formy oderwanej od treści przenika z kart książek do życia, prowadząc do sformalizowania obyczajaj. Czemuż bowiem innym była pasterska stylizacja życia modnych dam XVIII stulecia, pasanie ugarniowanych owieczek, wymitych uprzednio starannie przez służbę. Oto dobitny przykład formalistycznej wykładni naurowtu do natury, jaki głosił J. J. Rousseau, przy niezrozumieniu jego głębszych myśli.

Przytoczone przykłady, szczerpie z konieczności, potwierdzają, iż jedną z dróg do formalizmu wiedzie przez osamotnienie, będące najczęściej wynikiem myślowego lub życiowego zapóźnienia wobec historii. Jest jeszcze inna samotność. Ta, która zwykła wypredać historię, torując jej szlaki. Znajdziemy jej przykłady w świecie twórców walczących o nowe treści, jak też o nowe formy życia. Romantycy nasi przeszli również przez okres takiej samotności. Osamotnieni walczili w swym pokoleniu L. Bloy i Ch. Peguy. W tej samotności nie ma jednakże nic z formalistycznego schorzenia, nie zwykła bowiem przynależać sprawom formy autonomizacji wartości. Tu sprawy techniki były wtórne i zawsze podporządkowane jakiejś kierowniczej idei. Nie da się też zaprzeczyć, że czasem i formalizm stawał się, niezbyt co prawda skuteczną, i zapewne mało pożyteczną, lecz służną bo niekiedy jedynie możliwą drogą sprzeciwu, reakcją pisarza wobec naporu złej rzeczywistości. Tak przeciw ocenić należy ucieczkę w formalistyczne zaletki tych pisarzy niemieckich, pozostałych w kraju po 1933 r., którzy pod hitlerowskim butem nie mieli możliwości wypowiedzenia swych poglądów, a nie zdobyli się na milczenie.

Związana z omówionym uprzednio zespołem przyczyn, a przeciw odmienna, jest jeszcze jedna droga na formalistyczne bezdroża: hedonistyczne pojmanie literatury, świadoma rezygnacja z funkcji wychowawczej, z dydaktyki, która liczy się do skutków utworu, choćby jej twórca nie zamierzył. Stanowisko hedonistyczne rezygnuje z odpowiedzialności za czytelnika, pisarstwu odbiera charakter społeczny, redukuje do poziomu zabawy nie tylko stronę techniczną utworu, lecz utwór cały. Wartości wyrażone nie mają dla twórcy tego typu większego znaczenia. Są konwencjami, stanowią wartości pozorne. Z jednakowym nastawieniem podchodzi do nich, jak również do ich negacji. Ten typ formalizmu nie posiada cech kurczowej determinacji, jaka towarzyszy jego poprzedniemu odmianom, nie broni straconych pozycji, gdyż nie broni niczego w ogóle. Jest formalizmem rozbowionym, formalizmem pustki. Osamotnienie nie wykluczało ideologicznego ładunku u osamotnionych, ten zaś formalizm znajduje się poza jakąkolwiek ideologią. Ucieka od każ-

dej literatury, opartej o jakis system określonych wartości, piastującej pewne dążenia, walczącej o coś.

I ten rodzaj da się zilustrować mnogością przykładów. Ich wspólna cecha — nieważność utworu. Ograniczmy się tu do przypomnienia wersyfikacyjnego żartu A. Langego pt. „Rym”.

5.

**O**STATNI wreszcie, ale nie najmniejszy pomoc do formalizmu to pogoń za chwytym literackim, efekciarstwo pisarskie. Mieści się ono w manifestie Mariniego, lecz choć często wiąże się z zjawiskami scharakteryzowanymi uprzednio, może również występować poza nimi. Pckusa literackiego chwytu może działać nawet na pisarza o realistycznym podejściu, wolnego od skłonności solipsystycznych. Twórca, przeciwnik hedonizmu, akcentujący stanowisko społecznej odpowiedzialności za twórczość, może dać się pociągnąć łatwiej do chwytu. Może uważać go za atrapę, zwiększając zainteresowanie utworem. Pokusa ta wzrasta w atmosferze konkurencyjnej walki o czytelnika, o zdobycie go momentami pozatwórczymi. Tak rodzą się często efektywne, lecz niezharmonizowane z treścią „kasowe” tytuły, czy nienaturalne, rozdęte rozwiązania kompozycyjne. Taką pogoń za chwytym jest integralną właściwością pewnego gatunku grafomanów.

Przyczyna pogoni za efektem są jednak nie zawsze względy praktyczne. Często, zwłaszcza u twórców młodych, gra rolę chęć wyróżnienia się. Nietaż adept sztuki, utwórny efektywnym zwrotem, porównaniem, przenośnią czy paradoksem dorabia doń „na siłę” treść, aby spozytkowoć godnie klejnot własnej czy cudzej błyskotliwości. Zaczyna od chwytu i szuka dlań tematu. Drogą ta można dojść do rzeczy ciekawych, nie jest to jednak normalna droga twórczości, a raczej jej oplotki. Zdrowa kolejność etapów literackich rozpoczyna się od treści, tematu,

idei dzieła. Do celów wyszukuje środki, a nie odwrotnie.

6.

**P**O prześledzeniu różnych furtek i przełazów formalizmu w literaturze można z kolei przejść do wskazań leczniczych. „Owczarstwo” literackie, bardziej rozpowszechnione niżby się wydawać mogło, zaleca środki najbardziej wulgarny i niezróżnicowany, ucieczkę od zagadnienia techniki literackiej w ogóle. Rada ta, podobnie jak recepta niedoświadczonego lekarza, usuwa niebezpieczeństwo, lecz wtrąca pacjenta w inną chorobę, w prymitywizm twórcy, w schematyzm i w inne złośliwe „izmy”.

Zdarza się nieraz, iż troskliwy znachor trafia u twórcy na przypadłość szukania nowych rozwiązań formalnych w sztuce. Nieufny wobec każdego zjawiska, z którym się nie oswoił, zakrzyczy nowator, wypali na na czole piętno formalizmu. Mamy wtedy przypadek rzadszy niż u Moliera, Chorego z urorzenia... lekarzy! Czasami lekarz kompletnie sobie pacjentów per fas et nefas spośród ludzi zdrowych. Tymczasem zasób form literackich nie jest wyczerpany. Literatura rozwija się nie tylko w zakresie treści, lecz i formy. Taka walka z formalizmem zakrawa na hamowanie rozwoju i tymże formalizmem traci. Zresztą nawet nieudane eksperymenty stanowią czynnik rozwoju. By dojść do nowych odkryć eksperymentować trzeba.

Odejście od zagadnień techniki literackiej jest rezygnacją z narzędzi warsztatu, narusza zatem podstawy twórczości. Dbałość o technikę i o doskonalenie formy jest zawodowym obowiązkiem każdego pisarza, lecz ma rację bytu tak długo, dopóki pozostaje na płaszczyźnie służebnej, podporządkowanej istotnym celom sztuki.

Formalizm każdego autoramentu wiąże się z ucieczką od życia i z ubóstwieniem treści. Zatem na drodze powrotu do życia maksymalnego wzbogacenia poznawanych i przeżywanych treści leży możliwość zabez-

pieczenia się przed autonomizacją formy.

W literaturze polskiej tendencje formalistyczne nie odegrały głównej roli. Wprzęgnięciu głównego nurtu literackiego w rydwan służby obywatelskiej, silne powiązanie jej z rzeczywistością polityczno-społeczną, uchroniło ogół twórców od ciągłotek w tym kierunku. Jednostki, czy nieliczne lub krótkotrwałe zespoły o nastawieniu formalistycznym, pojawiające się w różnych okresach, giną na tle całości.

Niemniej tendencje takie istnieją w pewnej mierze również współcześnie. W batalionach krytycznych zasęg ich raczej się przejawia, nie należy jednak na nie zamykać oczu. Przypominamy: schematyzm, naturalizm, formalizm — oto częste rozpoznanie naszych klinicystów krytycznych.

Wypada w końcu postawić pytanie, czy we współczesnej powieści katolickiej możliwa jest skaza formalistyczna? Nie sądzę. Dzieło formalistyczne będzie z natury swej akatolickie. W dziele pozytywne katolickim na formalizm brak miejsca. Możliwy jest jednak formalizm w twórczości katolików, nie każdy bowiem pisarz katolik jest zarazem pisarzem katolickim. To różniczenie pozwala nam właściwie ocenić przykłady formalizmu, zaczerpnięte z centonów średniowieczna. Na gruncie światopoglądu katolickiego każda działalność, zatem i artystyczna, podporządkowana jest systemowi celów wyższych. Służąc tym celom i wieciał je w życie ma każdy zwierzchnia, a więc również i literat. Stanowisko takie nie pozwala na dogmatyzowanie kanonów technicznych. Prymat treści jest zachowany. Użytkowość i wychowawczy sens dzieła mają swój pełny walor. Zaś forma i technika istnieją po to, by pełniej i piękniej przeżyte treści wyrażać, by przynajmniej ich przyszukiwać, lecz nie po to, by żonglerką przed okiem widza, ukrywać ich brak.

\*) „Celem poety jest wzbudzać podziw”.

## METODY CYWILIZOWANIA INDIAN

(Dokończenie ze str. 3)

stwierdzono, że jeden Murzyn wart jest czterech Indian. Zaczął się tedy handel Negrami na większą skalę. Po ten towar ludzki jeżdżono do Afryki, kupowano go za wódkę i drobniaki od wladców murzynskich a za pieniądze od Portugalczyków, później także i od innych. Nawet świat starożytny i nawet ludy wschodnie — jak pisze katolicki autor w wydawnictwie Herdera, R. Pfaff-Giesberg — nie znają handlu niewolnikami na tak wielką skalę jak czasy nowożytne, czasy oświeceniści chrześcijańskie. Nawet Indianie budziłi współczucie u wielu, Murzyni nie budziłi go u nikogo. Słynny obrońca Indian Las Casas radził nawet zastąpić Indian Murzynami, uważał to za bardziej etyczne, choć dodać trzeba, że później zmienił zdanie i nawet bardzo swego błędu żałował. Jeden z najbardziej chrześcijańskich wladców europejskich w I połowie XVI w. jeden z najlepszych katolików ówczesnych w Europie, król hiszpański Karol I, miał skrupuły sumienia, co prawda pod wpływem Las Casas, gdy chodziło o traktowanie Indian, ale nie miał ich, gdy chodziło o Murzynów. Piniwał tylko, by na handlu nimi korzystała i monarchia, gdyż monopol handlu Murzynami w XVI w. mieli nadal Portugalczycy i od nich trzeba było ten towar kupować, to też handlarze żywym towarem musieli mieć od „arcykatolickiego króla” pozwolenie na swój proceder, musieli mieć specjalny kontrakt (asiento) tj. jak gdyby patent handlowy. Z początku takie pozwolenia król dawał tylko ludzom ze

swego otoczenia, swym faworytom i znajomym flandryjskim. Jako jeden z pierwszych otrzymał w r. 1518 Lorenzo de Gonveno przywilej na dostarczenie i sprzedanie w Ameryce 4000 Negrów. Pierwsze asiento zawarł w r. 1525 Alvaro de Castro, zobowiązując się dostarczyć na wyspę Hispaniolę 200 Negrów. Cena Murzyna wynosiła prawie tyleż w Ameryce, ile cena konia, bo konie były tam z początku dość drogie. Wyznanie Negra nie wpływało na jego sytuację. Ogół Murzynów był skazany na niewolę na wieczne czasy, bo tylko ci, którzy zostali przywiezieni z Portugalii i Andaluzji i znali język hiszpański, mieli prawo wykupować się z niewoli, ale za tak ogromną sumę, że w praktyce nie mogli z tego korzystać.

Nie można powiedzieć, by rząd hiszpański nie zwracał wcale uwagi na los Murzynów. Owszem, wydawano rozporządzenia na ich korzyść, zalecano łagodne ich traktowanie, zabraniano piętnować ich rozpalonym żelazem, niedozwolone było zabijanie Murzynów, ale istota systemu została niezmienną, pozostało niewolnictwo. Pod tym względem dola Murzynów była gorsza niż Indian. Tych ostatnich rząd hiszpański pozwalał obracać w niewolę tylko wówczas, gdy byli ludożercami (canibes) lub gdy odmawiali przyjęcia wiary chrześcijańskiej, Murzyni musieli zostać niewolnikami, choćby żaden z nich nie zdradzał ochoty do ludzkiego mięsa i choćby był najzarliwszym katolikiem. Organizujący się w amerykańskich koloniach hiszpańskich kapitalizm był silniejszy niż

wszelkie skrupuły religijne, silniejszy niż nauka Chrystusa o braterstwie wszystkich ludzi. Kopalnie złota, plantacje trzciny cukrowej, tytoniu i bawełny wymagały taniego robotnika. Skoro nie nadawał się do tej roli Indianin, musieli go zastąpić Murzyni. Krwawe bunt Murzynów tłumiono z całym okrucieństwem. Indianie znaleźli obrońców w zakonie dominikanów, za Murzynami nikt się nie śmiał z początku upomnieć. Bardzo nieśmiało u ich obronie wystąpił Las Casas, głośno wystąpił dopiero w drugiej połowie XVI w. najpierw Bartolome Albornoz, a po nim Diego de Avendano, ale ich głos — jak twierdzi hiszpański historyk Altamira — był głosem wlotającego na puszczy. Świat chrześcijański przypominał sobie o niewoli Murzynów dopiero na początku XIX w. i to bynajmniej nie z powodów głównie religijnych.

Ujarzmienie Indian i niewola Murzynów to zjawiska towarzyszące rozwijającemu się wówczas w pierwszej swej fazie kapitalizmowi. Był on naturalnym etapem życia gospodarczego Europy, był zwykle silniejszy niż skrupuły natury religijnej. Jego nadużył słabe tylko wywoływały protesty ze strony przedstawicieli chrześcijaństwa. Protestów tych jednak nigdy nie zabrakło.

Ks. Mieczysław Żywczyński

\*) Artykuł niniejszy stanowi drugą część większej pracy. Część pierwsza zatytułowana „Kościół a początek kolonizacji hiszpańskiej” była drukowana w nr. 8431 „Dziś i Jutro”.

Czerwona, przerywana kreska okrążyła wioskę Senku-faj. Po chwili uszczelniał ją pierścień żółtej barwy.

Spięzchłe wargi Pen-hu poruszyły się bezdźwięcznie, jakby żołnierz sylabizował trudne słowo lub usiłował nazwać niezrozumiałą dla siebie myśl.

6.

**G**DY wyszli z ciasnej kancelarii naczelnego lekarza, przyniósł im oczy światło pełnego już dnia. Matowe, chłodne słońce, powtórzone przez szklisty śnieg wydawało się po ciężkiej, nabrzmiałej strzelaninie i ogniem nocy, czymś niemal zmysłowym, nieprawdziwym, jak złe namalowany obraz.

Pen-hu, prowadząc jeńców ku barakowi C, bezmyślnie notował wzrokiem zygaki ich chwiejnych kroków. Ten, znaleziony przez niego, leciał przez ręce, podtrzymywany przez dwóch, których przyprowadził podporucznik Wu-czen. A i z tych dwóch ten, do którego Wu-czen mówił co w obcym języku, kulali na lewą nogę.

Nie popędzał ich. Sam zwoiłnił kroku, bo dostrzegł przed wejściem do baraku ożywiony ruch koło zdobywczy „Studsonów”. Motory dygotały przy warkotem rozgrzewanych silników. Na platformie wzuwano nosze, skrzynki, podsadzano sanitariuszki.

Pen-hu domyślił się, że ekipa sanitarna jak zwykle jedzie na miejsce nocnego bombardowania. Będą na pewno w Senku-faj. A tam Wachlarzyk... Targnęła nim chęć: skoczyć na ciężarówkę, jechać, jechać, obaczyć, wziąć w ramiona.

Nie zauważył, że obok niego stoi Sek-tin-wo. Widocznie wyszedł za nim z kancelarii. Powieka na lewym oku całkiem mu opadła. Uśmiechał się współczująco czarnymi zębami do Pen-hu.

— Mógłbyś z nimi się zabrać. Zobaczysz swoją dziewczynę. Na dwunastą wrócicie razem. Nikt nie zauważy. Wu-czen nie potrzebuje o tym wiedzieć. A tymi — wskazał na skulonych od porannego chło-

du jeńców — jeśli chcesz, ja się zajmę. No? Nie masz nad czym myśleć. Już ruszają.

Pen-hu podszedł szybko do kierowcy. Mówił wolno, jakby z zawstyżeniem.

— Słuchaj, w Senku-faj, dokąd jedziesz, młeszka stary Ram, ojciec Li-wen-ai. Ja nie mogę z wami się zabrać. Mam inny rozkaz. Więc rozumiesz, chciałbym wiedzieć...

Kierowca rozchylił w uśmiechu twarz okutą mrozem. Szrama na pucołowatym policzku, idąca od ust ku skroni, zalamala mu się przy porozumiewawczym mrugnięciu.

— Nie martw się, Pen, zalatwimy. Albo najlepiej — przywieziemy ci dziewczynę.

Pen-hu drgnął, ale kierowca wyjaśniająco krzychał przez warkot rozprychanego spalaminu motoru.

— Zdrowa, zdrowa, nie martw się, Pen!

Kiwał mu jeszcze jednopalcząstą rękawicą, wychyloną z okna szoferki.

Pen-hu pozornie spokojniejszy wrócił przed barak. Sek-tin-wo powiatał go czarnym uśmiechem podziwu.

— No, dzielny z ciebie chłopak. Postępujesz jak przystało na bohatera Republiki. Bez czułości: po męsku.

Pen-hu bał się, że wybuchnie nagłe płaczem lub przekleństwami. Nie znosił, gdy mówiono o nim jakoś górnio i inaczej, niż wtył sam o sobie. Znaczenie więcej wstydził się wtedy srogich rozkłiwni wewnątrznych i wewnątrznych lęków. Poza tym odczuł w głosie Sek-tin-wo świadome zamierzone pochlebstwo. Brzmiało jakoś nienaturalnie, ale mogło mu się tak tylko wydawać. Wszystko w ciągu tych ostatnich godzin jakoś się poplątało. Udał po prostu, że nie słyszy.

Weszli do bloku C. Dyżurny odebrał meldunek od Pen-hu. Zażądał od jeńców na migi dowodów wojskowych. Spokojnie odłożył na bok trzy fioletowe, w elegancie płótno oprawne książeczki. Wyraźnie wykalfigrafował na białej kartce datę: 12 stycznia 1952 roku. Wyrwał z dowodów fotografie, przykleił je pod wypisaną datą. Potem ostrymi, gwałtownymi krechami popisywał

kolejne liczby ewidencyjne. Żaden muskul nie drgnął w jego twarzy, gdy dał znak, by wszyscy poszli za nim.



rys. Andrzej Pol

Prowadził ich ku osobnej izbie poprzez długą, zastawioną łózkami salę. Odwracały się za nimi głowy leżących. Spod zakrwawionych bandażi błyszczały twarde, rozżarzone oczy. W ostatnim łózku tuż przy drzwiach uniósł się na kółkach młody, pozienialny w chorobie chłopak. Rozpięta koszula ukazywała sterzące przeszła żeber. Pierś podnosiła się i zapadała w głąb pracującą nad ciężkimi, świszczącymi od-

dychami. Patrzył tak uporczywie, że jeden z prowadzonych jeńców, utykający na lewą nogę, jeszcze w drzwiach nie mógł odwrócić głowy od opadającego już na poduszki chudziela.

Młody chłopak przywał uchem do ściany, jakby koniecznie chciał słyszeć, co się dzieje z tym utykającym. Krostowate czoło marszczył w trudzie do- bywania myśli. Wreszcie uchwycił ją, złą wiedziecnie i bolesną, bo naprzężył się całym ciałem, aż zatrzęscało żelazne łózko i w spieczonych uestach zadrał lekki krzyk. Podszedła do niego dyżurująca na sali siostra. Skarżył się jej na ponowny ból stóp, prosił o poprawienie pod nim poduszki. Siostra pochylała się z niezdeterminowanym gestem, poczem lekko poruszyła pościel w drugim końcu łózka, gdzie już od trzech dni było zbyt wiele pustego miejsca.

Tamci za ścianą słyszeli cichy okrzyk chłopaka, ale nie było w nich nic, prócz własnych myśli i lęku. Na oglądającego ich lekarza patrzyli jak na prokuratora wojennego sądu. Lekarz już po powierzeniowych oględzinach wydał polecenie. Mac Gleen zrozumiał raczej z gestów niż ze słów, że mają go odesłać do obozu jeńców. Jest, zdrow. Lenocha trzeba będzie opatrzyć; pocharatał sobie trochę głowę, no i noga w gips na parę tygodni. Najgorzej z Kertonem. Jest w nim coś groźniejszego. Nie wiadomo jeszcze co.

Lenochem zajął się ten z opadającą powieką. Wszedł z nim do komórki śmierdzącej karbolem. Nad Kertonem pochylał się lekarz z dziwnie skąpionym wyrazem twarzy.

Mac Gleen czekał na zastrzyk, obowiązujący wszystkich w rejonie Hoandżu. Kerton ciągle rzucał szklistym spojrzem wokół, jakby nie o- zumiał z tego co go otacza. Zdawał się nie poznawać nawet Lenocha, który właśnie wszedł z komórką, popchnięty przez swojego sanitariusza z rzucającą się w oczy brutalnością. Ale Lenoch wyraźnie lepiej poczuł się po opatrunku. Zdążył nawet, gdy Mac Gleena po zastrzyku odprawał jeden z sanitariuszy, szepnąć sierżantowi zdanie, które zdawało się w tej chwili nie mieć żadnego sensu: świat jest mały, Ameryka wielka.

(Dalszy ciąg w numerze następnym)







# TEATR DLA MŁODZIEŻY I MŁODZIEŻ TEATRALNA

(Rozmowa z rektorem PWST, Janem Kreczmarem)



„Balladyna” w Teatrze Nowej Warszawy — rys. B. Jonscher

SA dyskusje, których aktualność jest zawsze żywa. Czasem przybierają na sile, a to z chwilą, gdy problemy, o których mówią, stają się jaskrawymi zagadnieniami współczesności; bywają również okresy, w których przysagają, schodząc na plan dalszy wobec żywszej aktualności innych wydarzeń.

Do spraw ciągłe aktualnych, do rozważań niemiłkających należy dyskusja o naszej młodzieży. Nie może ona ograniczać się do szpał czasopism, konferencji i rozmów prywatnych. W dyskusji nad zagadnieniami wychowawczymi musi wziąć udział w szerszym zakresie literatura, film i teatr, tworząc zgodnie ze specyfiką tych sztuk fakty, które mogłyby przyczynić się do tego, by ogólny ton tej dyskusji był bardziej optymistyczny.

Szczególnie teatr, dzięki bogactwu i sugestyjności środków wyrazu artystycznego, którym rozporządza, ma pod tym względem duże możliwości, a co za tym idzie zadania i obowiązki.

Nie więc dziwnego, że sprawom teatru dla dzieci i młodzieży poświęcona była w czerwcu ub. roku specjalna narada, że stała powiększa się ilość teatrów dla młodzieży, że kierownictwo takiego właśnie teatru w stolicy powierzono czołowym artystom, pedagogom i działaczom teatralnym.

Mówiąc o naszym młodym teatrze, łączymy pojęcie teatru dla młodzieży ze sprawą młodzieży aktorskiej, i to nie tylko dlatego, że znaczną część zespołu Teatru Nowej Warszawy stanowią będą absolwenci warszawskiej PWST. Nie jest rzeczą przypadkową, że młodzież aktorska grać będzie dla młodzieży szkolnej i fabrycznej, być może łatwiej znajdując wspólny język z młodą, a więc zarówno wdzięczną, jak i trudną widownią.

Ale o tych sprawach powie nam najlepiej Jan Kreczmar, rektor PWST i kierownik artystyczny Teatru Nowej Warszawy, znany czytelnikom ze świetnych kreacji aktorskich, do którego zwróciliśmy się z prośbą o rozmowę na tak aktualny dziś temat — teatru dla młodzieży.

— Ustalmy — zaczyna naszą rozmowę rektor Kreczmar — że mówić będę o teatrze młodzieżowym, tj. teatrze dla publiczności w wieku powyżej lat czterech, zostawiając na uboczu sprawę liczących teatrów dziecięcych, która wymaga osobnego omówienia. Zapytywał pan o repertuar naszego teatru. W problemie repertuaru dla teatrów młodzieżowych zarysuje się osobno dwie sprawy — sprawa sztuk współczesnych i klasycznych. Z klasyką nie mamy wiele trudności, tutaj zagadnienie przedstawia się dość nieskomplikowane. Chcemy wystawić utwory, które przybliżą młodzieży podstawowe dzieła naszej i obcej klasyki; wybieramy przy tym te pozycje, które obok swego charakteru postępowego są odpowiednio komunikatywne. Każda sztuka klasyczna, napisana z pozycji postępowych, o ile nie posiada cech nieodpowiednich z punktu widzenia wychowawczego, może być pokazana młodzieży. Oczywiście mając do wyboru „Sen nocy letniej” czy „Makbeta” wybieramy to pierwsze dzieło Szekspira, podobnie jak wystawimy raczej „Szelmustwa Skapena” Moliera niż jego „Mizantropa”.

— Z repertuarem współczesnym dla młodzieży mają panowie zapewne więcej kłopotu, co zresztą można łatwo zauważyć obserwując dotychczasowe osiągnięcia repertuarowe naszych teatrów.

— Niestety, tak. Nie posiadamy polskiej współczesnej sztuki, która by właściwie ukazywała dzisiejszą problematykę młodzieżową, spełniała zadania poznawcze, jakie stawia współczesność wobec tego typu dra-

maturgii, dopomogła w rozwiązywaniu tak aktualnych problemów wychowawczych.

— A może sztuka taka powstaje już w pracowniach literackich?

— Może... Kilku spośród naszych pisarzy pracuje nad sztuką dla młodzieży. Za wcześniej jeszcze mówić o konkretnych. Czekając na dobry polski utwór sceniczny dla młodzieży, sięgamy i będziemy sięgać po współczesną młodzieżową sztukę radziecką.

— A jak się konkretnie przedstawiają plany repertuarowe „Teatru Nowej Warszawy”?

— W najbliższym czasie wystawimy na scenie naszego teatru sztukę Nazima Hikmeta „Legenda o miłości”. Znany poeta postępując się formą baśni poetyckiej ukazuje proces kształtowania się nowego socjalistycznego bohatera. Absolwenci PWST pracują nad „Nadzieją” Heijermanna i nad młodzieżową sztuką radziecką Rozowa „Stronica życia”.

W tym roku również zespół „Teatru Nowej Warszawy” wystawi radziecką adaptację sceniczną „Domiego i syna” Dickens’a oraz radziecką sztukę „Tajemnica wiecznej nocy” Łukowskiego, łączącą w sobie wątek sensacyjny z tym, co nazwalibyśmy fantazją naukową. Ta ostatnia sztuka posiada przy tym wyraźny sens antyimperialistyczny. Jak pan widzi, w naszym repertuarze element fantastyczny jest silnie reprezentowany. Postawiliśmy sobie za cel „zarażenie” naszej młodzieży poezją i dlatego dawanie sztuk, które mieszczą się w granicach małego realizmu, nam nie wystarcza. Szukając dzieł scenicznych przepojonych duchem poetyckim, szukamy polskich sztuk współczesnych, które by pokazywały większe i głębsze problemy, a nie tylko drobne sprawy codzienności.

W związku z 10-leciem Polski Ludowej siłami absolwentów PWST wystawione zostaną „Niemcy” Kruczkowskiego oraz wiersz poezji i pieśni osnuty na historii 10-lecia. W opracowaniu Leona Schillera mamy zamiar wystawić widowisko dające wybór polskich intermedii renesansowych. Miałyby ono zapoczątkować cykl przedstawień ilustrujących rozwój polskiej sztuki sceniczej na przestrzeni wieków. W Roku Mickiewiczowskim projektujemy inscenizację fragmentu „Dziadów”.

— Połączenie teatru dla młodzieży ze sceną, na której kształtować się mają młode siły aktorskie, wydaje mi się owocnym, lecz nielatanym eksperymentem. Czy byłby pan rektor laskaw powiedział nam o zaletach takiego teatru, jak i o trudnościach, które podwójny cel tej placówki artystycznej piętrzy przed jej kierownictwem i zespołem?

— Opinię publiczną niepokoi dwuistość zadań Teatru Nowej Warszawy. Jak łącząc sprawę właściwego działania wychowawczego na młodego widza z wychowaniem młodego aktora? Teatr młodych dla młodych kryje rzeczywistość w sobie sporo trudnych do rozwiązania zadań. Jedną z takich trudności będą ograniczenia repertuarowe. Nie możemy wystawić sztuk, które dla młodzieży nie są właściwe, ale myśle, że wachlarz dzieł, jakie mogą ukazać się na naszej scenie, powinien być wystarczający dla absolwenta szkoły aktorskiej. Pozytywną stroną takiego teatru jest to, że młodzież aktorska znajduje bezpośredni oddźwięk u młodego, żywo reagującego widza. Uchwycenie reakcji młodej widowni i nawiązanie z nią właściwego kontaktu to nowe zadanie dla młodego aktora. Nie mniej ważne są problemy organizacyjne. Zastaliśmy w Teatrze Nowej Warszawy grupę dojrzałych aktorów, których praca jest

konieczna dla dalszej egzystencji teatru, ponadto zatrudnimy absolwentów szkoły aktorskiej w ilości dziesięciu do dwudziestu osób. Teatr nasz posiada więc niejako dwa zespoły aktorskie — stały zespół starych aktorów i młodzież, która przychodzić będzie do nas na roczną praktykę. Drugi problem stanowi fakt, że w naszym zespole artystycznym co roku zachodzić musi duża zmiana, ponieważ poważna jego część stanowić będzie element przepływowo. Do wad takiego systemu należą trudności obsadowe, które muszą powstać z uwagi na to, że sztukę grywa się często przez dwa i więcej lat, trzeba więc zmieniać obsadę, co sprawia duże kłopoty inscenizatorom i może ujemnie wpłynąć na wartość przedstawienia.

Niestatość i przepływowość utrudnia również scementowanie się zespołu. Koncepcja teatru, w którym występować będą absolwenci szkoły aktorskiej, posiada jednak duże zalety szkoleniowe. Przed rozpoczęciem pracy w teatrach terenowych, gdzie zdani będą często na własne siły, zetkną się młodzi aktorzy z pracą normalnego teatru, z jej trudnościami, które będą mogli pokonywać pod kierunkiem swoich profesorów. Pomoc w przejściu nielatanego progę od szkoły do teatru pod okiem wytrawnych pedagogów, właściwe przystosowanie do samodzielnej pracy — oto zalety bezsporne tego typu teatru.

— Mówiąc o sprawach teatru dla młodzieży przeszedł pan rektor do zagadnień młodych kadr aktorskich. Każdy uważny widz teatralny, który miał możliwość zapoznać się z twórczością naszych najmłodszych aktorów, uznać musi ich stosunkowo poważne rezultaty, szczególnie w dziedzinie opanowania rzemiosła aktorskiego, rezultaty, które, mam wrażenie, są jednocześnie dużymi osiągnięciami zespołu profesorskiego. Trudno, mnie przynajmniej, a myśle, że i wielu odbiorcom scharak-

teryzować możliwie pełnie i prawdziwie nasz młody narybek aktorski. Dlatego chciałbym zapytać pana rektora, jakie nadzieje może z naszą młodzieżą aktorską wiązać widz teatralny, a więc i o stopień nasycenia prawdziwymi talentami szkół teatralnych.

— Wśród młodzieży naszych szkół teatralnych posiadamy niewątpliwie wiele jednostek uzdolnionych. Młodzież ta pracuje dużo, ma dość znaczne osiągnięcia, z których największym jest fakt na ogół wyrównanego poziomu zarówno prac szkolnych, jak i przedstawień dyplomatycznych. Szkoły aktorskie opuszczają przeważnie ludzie dostatecznie przygotowani do wykonywania swojego zawodu, młodzież jest dynamiczna, pełna energii, wchodzi do teatru z dużym ładunkiem bojowości. Wydaje mi się jednak, że sprawa rekrutacji do szkół teatralnych nie jest jeszcze zupełnie zadowalająco rozwiązana, nie wystarczy bowiem oparcie się tylko na komisjach rekrutacyjnych. Dotąd jeszcze nie umiemy wydobyć tych talentów, które są wśród naszej młodzieży. Nie wszyscy, którzy zgłaszają się do szkół, powołani są osobistą pasją, potrzebą i zamiłowaniem do zawodu. Powtarzam jednak, że posiadamy w szkole wielu uczniów bez wątpliwej uzdolnionych, utalentowanych i stale rozwijających się.

Osobnym zagadnieniem jest sprawa metod pedagogicznych. Tradycje przystosowania do zawodu młodzieży aktorskiej nie odbiegają do niedawna od systemu przekazywania przez mistrza sceny swojego doświadczenia uczniom. Oczywiście trudno było to mówić o jakiejś jednolitej metodzie nauczania. My opieramy się w naszej pracy wychowawczej w znacznej mierze na pedagogicznym dorobku współdziałającego z nami prof. Aleksandra

Zelwerowicza, którego uczniem jestem, podobnie jak większość profesorów naszej uczelni. Znaczący należy, że on jeden obok Osterwy (i wspólnie z Osterwą) próbował u nas kształtować jakąś metodę pedagogiczną. Korzystając z wypracowanych przez prof. Zelwerowicza założeń pracy wychowawczej, wykorzystujemy również doświadczenia K. S. Stanisławskiego, którego t.zw. system uznajemy i staramy się do niego zbliżyć.

— Mówiliśmy dotąd o efektach pracy wydziału aktorskiego PWST. Jak przedstawia się sytuacja na wydziale reżyserkim, jak układa się współpraca Teatru Nowej Warszawy z innymi uczelniami artystycznymi, mającymi związek z teatrem. Myślę tu przede wszystkim o wydziale scenografii ASP.

— Wydział reżyserki skupia przeważnie już dojrzałych ludzi teatru. Kształcenie przebiega indywidualnie, każdy rok liczy po kilka osób zaledwie, wydział kształci bowiem kierownicze siły teatru. Absolwenci praktykują zazwyczaj w innych teatrach, my musimy się bowiem oprzeć na bardziej doświadczonych siłach reżyserkich, niemniej słuchacze III roku wydziału reżyserii będą i u nas wykonywać swoje prace warsztatowe, pracując oczywiście z dojrzałymi aktorami. W niedługim czasie opracują oni „Graczy” Gogola. Chcemy otworzyć gościnnie nasz teatr dla prac dyplomatycznych absolwentów wydziału scenografii ASP. Jak pan widzi, scenografię i kostiumy do „Balladyny” wystawianej w Teatrze Nowej Warszawy przygotowali słuchacze tego wydziału.

— Dziękuję panu rektorowi za cenne uwagi i informacje, chciał-

bym na zakończenie dotknąć jeszcze dwóch spraw Teatru Nowej Warszawy — kontaktu z młodą widownią i organizacyjno-technicznego zaplecza tej placówki kulturalnej.

— Doceniamy znaczenie bliższego związku naszego teatru z młodym widzem i staramy się wypracować formy tego kontaktu. Na razie mamy zamiar udostępnić młodzieży książkę, za której pośrednictwem młoda publiczność dzieliłaby się z zespołem i kierownictwem swoimi uwagami na temat przedstawień i życzeniami pod naszym adresem. Oczywiście pomysłimy i o innych rodzajach kontaktu.

— Dużym utrudnieniem w naszej pracy jest brak odpowiedniego zaplecza dla teatru. Pouzieliśmy duże zobowiązania produkcyjne, teatr nasz z uwagi na swój charakter będzie wystawiał 7—8 sztuk rocznie. Musimy stworzyć własny niezależny repertuar, do którego np. chcielibyśmy włączyć „Balladynę”. Niestety przeszkadza temu brak zaplecza, nie posiadamy odpowiednich pomieszczeń na dekoracje, jak również sali prób.

— Wracając jeszcze do ogólnych spraw teatru dla młodzieży. W Polsce teatru Młodego Widza poszły raczej w kierunku rozwoju teatrów dziecięcych. My opieramy się w dużej mierze na doświadczeniach radzieckich teatrów Młodego Widza, które wystawiają zarówno sztuki klasyczne, jak i współczesne dla młodego odbiorcy w określonym wieku. Uważam, że w Warszawie powinien powstać również i osobny teatr żywego planu dla dzieci.

Rozmowę przeprowadził

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

## KILKA SŁÓW

### o teatrze

### W SOŁSKI WKRACA

100-NY ROK ŻYCIA

w dniu 20 marca nestor aktorstwa polskiego, Ludwik Sołski, wkrocza w setny rok życia. Dla uczczenia jego artystycznego jubileuszu, który za kilka miesięcy obchodzić będzie cała Ludowa Polska, zawiązał się już w Warszawie osobny Komitet.

### INAUGURACJA OPERETKI

W WARSZAWIE

Premiera „Domku trzech dziewcząt” z muzyką Schuberta w reżyserii Zb. Sawana (kierownictwo muzyczne J. Gacek, choreografia: J. Kapliński, scenograf: A. Sadowski) zapoczątkował Teatr Nowy swą działalność teatru operetkowego. Zespół nie jest wprawdzie całkiem wyrównany, role męskie m. in. również rolę Schuberta (Z. Zaczek), szwankowały jeszcze, zwłaszcza na początku spektaklu, jedynie L. Sempoliński wnoszą, jak zawsze, na scenę żywił gry i humoru. Szczęśliwie natomiast wykręślił reżyser w roli Grisi prawdziwie operetkowy temperament B. Artymskiej. Dobrze też zaprezentowało się tytułowe trio z B. Sojceka, H. Bortnowską i H. Makowską, podobnie jak i M. Wojnicki jako baron Schober. W wytrawnej inscenizacji i reżyserii Sawana może jedynie akt środkowy mógł uzyskać szybsze tempo. Zdaje się, że Warszawa będzie mimo trudności mieć operetkę.

### 400-NE PRZEDSTAWIENIE „OTELLA”

obchodził co dopiero Teatr im. Mossiwietu. Premierę arcydzieła Szekspira przygotował przed dziesięciu laty reżyser J. Zawadzki, do sukcesów przedstawienia, znanego również gościnnie w Polsce, Bułgarii, Rumunii, przyczynił się szczególnie niezapomniany Mordwinow w roli tytułowej oraz Olenin w roli Jagona.

### PRZEGLĄD RADZIECKIEJ TWÓRCZOŚCI

AMATORSKIEJ

który odbywał się w ostatnich miesiącach w całej Federacyjnej Republice Rosyjskiej, zostanie zakończony w marcu finałem w Moskwie. Wystąpi tu m. in. 30 chorów, 6 zespołów pieśni i tańca, 22 zespoły taneczne, 60 śpiewaków-solistów. W samej okręgowej eliminacji amatorskiego ruchu wiejskiego w Leningradzie wzięło udział 1200 wykonawców. Zespoły dramatyczne wystawiły szereg utworów krajowej i obcej klasyki oraz dramaturgów radzieckich. Amatorzy zaprezentują również swe osiągnięcia w twórczości operowej. Zespół rejonowego Urzumskiego domu kultury (okręg kirowski) wystąpił z inscenizacją opery Glinki „Iwan Susanin”.

### „WEEK-END Z SZEKSPIREM”

W PARYŻU

organizują 10—11 kwietnia w Palais de Chaillot połączone zespoły M. Renaud-J. L. Barraut oraz Théâtre National Populaire. Na imprezę złożą się spektakle „Hamleta”, w wykonaniu zespołu Barraud; film L. Oliviera „Henryk V” z konkursem Towarzystwa Klubów Filmowych; dialog z publicznością oraz spektakli „Ryszard III” w wyk. TNP. W przyszłości przewiduje się dalsze podobne spotkania, m. in. „Week-end z Moliere”.

### o plastyce

### ODKRYTO NIEZNY PORTRET

CHOPINA

Autor wydawnictwa pt. „Portret Fryderyka Chopina” (Kraków, 1952 r.), Mieczysław Idzikowski, nabył ostatnio do swych zbiorów portret olejny o wymiarach 20,5 na 26,5 cm. Jest to portret 21-letniego Chopina, z okresu jego pobytu w Wiedniu. Ekspertyza fachowców ustaliła, że twórca portretu (podpisany litera „R”) należy do wiedeńskiej szkoły malarzkiej.

W Jesieni rb. zorganizowana będzie w Warszawie wystawa ocalałych portretów Chopina. Organizuje ją Towarzystwo im. Chopina w swej nowej, wspaniałej siedzibie — w odbudowanym zameczku Ostrogskich.

PLASTYKA NA „DEKADZIE LITEWSKIEJ” W MOSKWIE

W marcu r. b. zorganizowana została w Moskwie t. zw. „Dekada Litewskiej Literatury i Sztuki”. Obok literatury, muzyki i teatru na festiwalu tym reprezentowana będzie również plastyka. Wystawionych zostanie około 2 tysięcy prac, obrazów, rysunków i rzeźb, najwybitniejszych artystów litewskich.

### OTWARCIE WYSTAWY RYSUNKÓW

Z CHIN I WIETNAMU

8 bm. w gmachu „Zachęty” otwarta została wystawa pod nazwą „Chiny i Wietnam w rysunkach Aleksandra Kobzdej”. Wystawa obejmuje sto kilkadziesiąt rysunków i szkiców wykonanych przez artystę w czasie niedawnej podróży po Chinach i Wietnamie.



Aleksander Kobzdej: Szkoła podstawowa

Na otwarciu wystawy przybliżył minister Kultury i Sztuki W. Sokorski przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Związku Polskich Artystów Plastyków oraz liczni przedstawiciele świata artystycznego.

Obecny był także ambasador Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce Tseng Yung-chuan. Do zebranych przemówił towarzysząc podróży Aleksandra Kobzdejja po Chinach i Wietnamie — literat Wojciech Zukrowski.

### PIĄTY SALON MŁODEGO MALARSTWA

W Paryżu otwarto „Salon de la Jeune peinture” w salach Musée d'Art, gromadzący dzieła szesnastu malarzy. Naczelna cechą wszystkich prac jest dążenie do ujęcia w różnych aspektach obrazu codziennej otaczającej nas rzeczywistości. Znajdujemy liczne widoki miejskie, wśród nich oryginalną wędutę Paryża, pędzla Gérard Singer. Salon Młodych jest aktorem opozycji wobec wyidealizowanych i formalistycznych współczesnego malarstwa. Nagrodę Fernand Léger otrzymała Simone Dat, nagrodę Fondation Bénéviste — Michel Thompson, nagrodę młodych: Folk i Raoul Predier.

ślonej ilości nagród muzycznych, oraz organizowanie raz do roku „Tygodni Muzyki” każdego kraju. Mamy też nawiązane stosunki z radem francuskim, wolskim, szwajcarskim, szwedzkim, norweskim, belgijskim, ekwadorskim, indyjskim i argentyńskim. Są w toku starania o nawiązanie kontaktów z radiofoniami fińską, brazylijską, syryjską, indonezyjską i meksykańską. Dzięki temu słuchacze „Polskiego Radia” będą mieli okazję słuchać nieznanej im muzyki. Muzyka królów Wschodu, Zachodu, Północy i Południa, znajdzie się więc na polskiej antenie. Ostatnio mieliśmy już okazję słyszeć audycje o francuskiej piosence ludowej, operę „Cyrylik Sewicki” z Rzymu oraz utwór Sibeliusa z Finlandii. W drodze wymiany wysyłane są też oczywiście najlepsze nagrania naszej muzyki. Piosenki „Mazowsza” zawędrowały w ten sposób już do Rzymu, Paryża, Sztokholmu, Oslo, New Delhi i do Ameryki (do Waszyngtonu). Radiofonie tamtejsze posiadają też utwory Montuski, Chopina, Panufnika, Lutostawskiego, Fiteberga i innych.

A więc melomani przeglądajmy od dziś uważniej program audycji „Polskiego Radia”.

### Z NOWYCH WYDAWNICTW

Nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego ukazały się w sprzedaży w księgarniach muzycznych „Domu Książki” trzy zeszyty pieśni, napisanych z okazji II Zjazdu PZPR. Zeszyty noszą tytuł „Naszej Partii — pieśni”. Pieśni opracowane są dla solistów, oraz na cnoć z towarzyszeniem fortepianu.

### o muzyce

### „POLSKIE RADIO” — DLA MIŁOSNIKÓW MUZYKI

„Polskie Radio”, starając się jak najbardziej wzbogacić swój program, starało się o nawiązanie szerokiej wymiany z radiofoniami całego świata. Wymiana ta obejmuje wszystkie działy kulturalne. Jeśli chodzi o dział muzyczny, przedstawia się on następująco: w swoich programach muzycznych „Polskie Radio” systematycznie nadaje audycje, zawierające cenne pozycje muzyki klasycznej i współczesnej. Nawiązano ściśle współpracę z radiofoniami ZSRR, NRD, krajów demokracji ludowej, oraz z radiofoniami chińską. Współpracę tę normują specjalne umowy, przewidujące wymianę okre-

### o filmie

### KONKURS NA FILM WASKUTASMOWY

Centralny Urząd Kinematografii i Komitet do Spraw Turystyki ogłaszają konkurs na amatorski film waskutasmowy o tematyce turystycznej krajowej, socjalnej, kulturalnej i sportowej.

W konkursie może wziąć udział każdy amator-filmowiec. Termin nadsyłania filmów upływa 15 października br. Za najlepsze filmy przewidzianych jest 10 nagród: pierwsza nagroda w wysokości 8 tys. zł., dwie drugie po 3 tys. zł. — siedem trzecich po 3 tys. zł.

### o filmie

Włoska wytwórnia filmów „Sphinx-Film” w Mediolanie i egipskie towarzystwo filmowe „Miss Universal Film” opracowały wspólnie kolorowy fantastyczny film oparty na „niezawodnym” receptach Hollywood pt. „Krolestwo moje jest dla kobiety”, którego scenariusz czerpie natchnienie z autentycznych podobno faktów z okresu panowania ex-króla Faruka. Do realizacji tego blachego filmu zaangażowano artystów i fachowców aż siedmiu narodowości: włoskiej, amerykańskiej, angielskiej, francuskiej, szwedzkiej i szwajcarskiej. Reżyserem będzie Amerykanin Gregory Raftoff, w rolach głównych wystąpi Angielka Kay Kendall i Sidney Chaplin, syn wielkiego Charlie. Film ten wywołuje w prasie zachodniej wiele humoru. Wątpi się powszechnie, aby obraz nakręcony na wieży Babel ujrzał kiedykolwiek ekrany.

### „KALINOWY GAJ” JAKO FILM KOLOROWY

Klubska Studio Filmowe wypuściło w ub. r. nowy barwny film osnuty na sztuce A. Korniejczuka pt. „Kalinowy gaj”, poświęconej życiu ukraińskiego kolchozu Role gówna, przewodniczącego kolchozu Romanika, gra w filmie znakomity J. Szumski, w głównej roli kobiecej świetnie wypada znana aktorka ukraińska, N. Uziw.